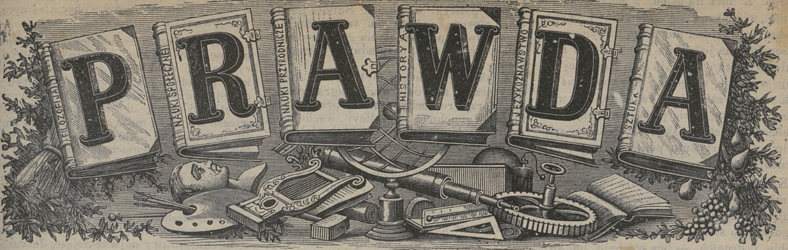
№ 22. Warszawa, dnia 29 (17) Maja 1886 r. Rok VI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POLITYKA.

CIEMNE PUNKTY.

Dni zupełnej pogody, dni bez „chmur" i „czarnych punktów" życie polityczno-dziennikarskie nie zna, gdyż albo nieodejmujący od oczu lunet astronomowie prasy istotnie coś widzą, albo widzieć chcą. Gazeta, która w swych papierowych fałdach nie posiada wojny, traci wartość dla czytelników, pozbawia się racyi bytu. Nie potrzebuje ona jednak wcale zmyślać niebezpieczeństw, dyplomacya bowiem zawsze jej dostarczy większych lub mniejszych strachów.

Jeśli na ulicy warszawskiej stanie figlarz, zadrze głowę do góry i wzniesie palec, z pewnością otoczy go gromadka ciekawych, którzy patrzeć będą w kierunku tego palca, chociaż niczego nie dojrzą. Możnaż się dziwić, że prasa odgrywa rolę owej gromadki, gdy coś podobnego zrobi wielki mąż stanu, z którego ust świat przywykł zdejmować wyroki i wyrocznie o swych losach? Przy obradach nad projektem wykupu ziem polskich w Poznańskiem Bismark wskazał na widnokręgu Europy „ciemne punkty." Od owego czasu dzienniki polityczne widzą ciągle owe „ciemne punkty" i „chmurki" — to w agitacyach francuskich, to w zerwaniu stosunków handlowych między Austryą a Rumunią, to w postępowaniu ks. bułgarskiego, to wreszcie—obserwacya najświeższa—w nowej flocie rosyjskiej na morzu Czarnem.

Ta flota, z której pisma rosyjskie obiecują sobie bardzo wiele i uznają w niej jeden z donioślych aktów rozwoju politycznego, jest obecnie głównym kamieniem obrazy i główną „chmurą" dla gazet zagranicznych. Ile już z niej spadło deszczu, gradu i błyskawic na cierpliwy papier, trudno określić. Nie lekceważmy wszakże wszystkich domysłów i wywodów, bo tkwi w nich ziarno prawdopodobieństwa. Rosya posuwa się w dwu kierunkach: wschodnim i południowym. Dwa te ruchy są jej logiką polityczną bieżącej doby. Nie ma więc nic nowego w tym postępie, który odczuło morze Czarne. Pytanie tylko: gdzie kres rozrostu pokojowego a gdzie granica, na której staną interesy cudze i powstrzymają go lub wyzwą do zbrojnego starcia? Otóż wątpimy, czy jest dziś człowiek, trzymający w swem ręku nawet najwięcej nici wypadków bliskiej przyszłości, któryby umiał na to odpowiedzieć.

Wogóle, zdaniem naszem, liczna rzesza, trudniąca się rozwiązywaniem szarad i rebusów dyplomatycznych, za wiele mężom stanu przypisuje świadomości i rachuby, a za mało zdarzeniom politycznym przypadkowości. Już mistrz w tej sztuce, ks. Bismark wielokrotnie zaznaczył, że jest on wszechwładniejszym w wyobraźni ogółu, niż w istocie, że ludzie w jego myślach i woli odnajdują przyczyny, które leżały zewnątrz niego. Naturalnie, z daleko większą słusznością można to powtórzyć o mniej przebiegłych i mniej silnych. Nikt nie zaprzeczy, że wątek wypadków snują te same ręce, które sterują nawami państw, ale nietylko one. W tej przędzy uczestniczą również czynniki niewidzialne, nieobliczone, które często nadają główną moc całej osnowie. Nieraz gdy wszyscy wzrok utkwią w jakiś „punkt ciemny," piorun spada z pogodnego na pozór nieba. I to jest bardzo zrozumiałem. Ze wszystkich żywiołów natury najtrudniejszym do obrachowania jest człowiek; chociaż więc dyplomaci rządzą narodami i za pomocą ukrytych sprężyn wywołują ruchy pożądane, nie mogą oni nigdy przewidzieć wszystkiego, co się objawi w olbrzymim zbiorowisku ludzkiem, jak ono w danej chwili postąpi. Tu nie ma operacyj pewnych, bo tu nie ma prawidłowości znanej.

Nie zawsze przeto wierzyć można tym „ciemnym punktom" i „chmurom," które są wyraźne, dostrzegalne i wskazane. Zwłaszcza zawodną jest taka wiara dziś, kiedy owe plamy występują i znikają co chwila. W ciężkiej atmosferze stosunków sztucznych wytworzyło się dość materyałów palnych i wybuchowych. Powodu do wojen i starć szukać nie trzeba, bo namnożyło się ich za dużo. Europa wygląda od lat kilkunastu tak, jak gdyby czekała tylko na hasło, na pierwszą lepszą pobudkę, ażeby rozpocząć krwawą ofiarę. Z którejkolwiek strony i ktokolwiek na nią spojrzy, każdy widzi pęknięcia wiązań i pochylenia kolumn. Poprawka idzie za poprawką, restauracya za restauracyą — a gmach jak był ruderą, tak nią pozostał. Militaryzm niemiecki obił żelaznemi obręczami tę beczkę, której spróchniałe klepki się rozlatują, i zakłada na nią coraz nowe, ale ta naprawa niedługotrwała, bo oprócz tej siły żadna inna statku w całości nie trzyma.

To niemal ogólne przekonanie — wyznawane w najrozmaitszych sferach społecznych — wytwarza pesymizm i nieufność do jutra, ono wzmacnia siłę i grozę „ciemnych punktów." Dość, gdy jakiś organ półurzędowy zamieści naganę dla sąsiada, dość gdy minister w mowie parlamentarnej rzuci ostre słowo, dość gdy nastąpi posunięcie kilku korpusów ku granicy, dość gdy na morze wypłynie parę nowych okrętów, ażeby natychmiast po gazetach powiał prąd nadchodzącej burzy. *Nowoje Wremia* zauważyło niedawno, że „oczekiwanie wypadków jest charakterystycznym rysem polaków w obecnej chwili." Niezawodnie, ale czy tylko polaków, czy ten sam rys nie występuje również dziś u innych narodów? Jeżeli giełdy są istotnie barometrami, to przyznać trzeba, że nie

warszawska najwyżej skacze i najniżej opada. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę „widnokrąg się zaciemnia“ i „wypogadza,“ a wartości nie mogą utrzymać się przez dobę na jednakim kursie — w Berlinie, Paryżu, Wiedniu itd. Niepokój panuje wszędzie, wszędzie. Ale ponieważ on tak szeroko zawładnął światem, nie wiadomo nikomu, gdzie pada punkt ciężkości niebezpieczeństwa, skąd ono gromem spadnie: czy z artykułu półurzędowego, czy z ruchu wojsk, czy z nowych okrętów.

Kto dziś twierdzi, że czuje burzę w powietrzu—ten mówi szczerze; ale kto utrzymuje, że widzi ten „ciemny punkt,“ z którego ona na świat się zwali, ten bałamuci siebie i drugich — bez względu na swe teleskopy i wiadomości polityczne. Może jeszcze dużo „chmur“ przeleci nad nami nieszkodliwie, a może jakaś szara, na pozór niewinna, posieje klęski.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, d. 23 maja.

Rozruchy mazurskie i sprawozdanie inspektora przemysłowego. — Logika i fakty. — Rusińskie nadzieje i wymagane koncesye. — Praca wewnętrzna.

Jeszcze nie przebrzmiały u nas echa rozruchów mazurskich, tego nadzwyczaj ciekawego objawu społeczno-psychologicznego, którego dokładne zbadanie mogłoby wnieść wiele światła w całą historyę naszego rozwoju za ostatnich lat 50. Szkoda jednak, że obecne stosunki partyj galicyjskich prawie uniemożliwiają podobne badanie. Podczas gdy bowiem szlachta z *Czasem* krakowskim wszelkiemi siłami starała się stłumić sprawę, utaić fakty lub wreszcie pozbawić je wszelkiego znaczenia, zwalając całą winę na barki „zagranicznych agitatorów,“ inne organa bądź w nieświadomości rzeczy wtórowały *Czasowi*, bądź też ogłaszały oryginalne korespondencye z różnych stron, zapisywały różne sprzeczne wieści, nie starając się o żadną ich krytykę, o sprawdzenie na miejscu, a tem mniej próbując zestawić je w syntetyczną całość, dojść do wniosków rdzennych i wyciągnąć z nich naukę dla naszej wewnętrznej polityki krajowej. Śmiało powiedzieć można, że objaw ten, tak groźny i tak zagadkowy, przeminął dla galicyjsko-polskiej inteligencyi bezpłodnie i niczego ją nienauczył!

A jak zagadkowym był i pozostał dość przytoczyć, że wedle wielu zagranicznych gazeciarzy rozruchy musiały przedewszykiem wybuchnąć w Galicyi wschodniej, w której daleko więcej znajduje się materyałów palnych, a mianowicie: 1) rozbudzone antagonizmy narodowe i religijno-obrzędowe między ludem wiejskim, a szlachtą; 2) większe ogniska przemysłowo-fabryczne, z rozwiniętym do ostateczności systemem wyzyskiwania — jak np. w Borysławiu, w górach kołomyjskich itp.; 3) mniej szkół a więc i większa ciemnota ludu; 4) większe prawdopodobieństwo zagranicznej agitacyi. Osobliwie świeżo puszczone w świat sprawozdanie galicyjskiego inspektora przemysłowego, p. Nawratila, które odsłoniło wprzerażającej nagości nędzny stan galicyjskiego roboczego ludu, dało pochop zagranicznym publicystom do szukania rozruchów tam, gdzie logicznie musiałyby wybuchnąć a faktycznie nie wybuchły.

Nie wdając się w rozbiór tej ciekawej, lecz nader trudnej kwestyi, zaznaczę jedynie, że bunty owe, zrozumiane w Wiedniu jako dowód niezadowolenia wiejskiego ludu z obecnego stanu rzeczy, chwilowo rozbudziły myśl o zmianie systemu rządowego, jeżeli nie całkowitej, to bodaj częściowej. Zdawało się, że rząd dostrzegł bezsilność szlachty galicyjskiej, bezskuteczność rządów autonomicznych, że szuka nowych sojuszników w Galicyi, a artykuł półurzędowy, umieszczony w *Wiener Allgemeine Zeitung*, zwracający pierwszy raz baczną uwagę na rusinów galicyjskich i szczególnie podnoszący zasługi stronnictwa narodowców około podźwignienia oświaty ludu wiejskiego, podał niektórym sangwinikom nadzieję, że oto przyszedł czas, kiedy rusińscy narodowcy w Galicyi staną się partyą rządową. Rozumie się samo przez się, że nadzieje te, jeżeli je ktokolwiek z rusinów żywi, prędzej czy później muszą się okazać złudnemi. Narodowcy galicyjscy nie powinni by nawet puszczać się na takie rojenia, bo partyą rządową w Austryi oni nigdy stać się nie mogą, jeżeli nie chcą zatracić swych znamion. Na to trzebaby koniecznie zrobić ustępstwo z tego, co dla każdego narodowca powinno być rzeczą najdroższą — z pracy dla ludu, z obrony jego interesów wobec klas uprzywilejowanych.

Niestety, zanim te nadzieje już nie spełnią się, lecz nawet choć nieco jaśniej zarysują się, rusini galicyjscy w dziwne jakieś popadają odrętwienie. Wszystko to, co stanowiło do niedawna treść ich wewnętrznej pracy, obecnie albo ustało, albo wlecze się jakoś mdło, bez porządku i myśli przewodniej. Nie słychać nic o wiecach i zgromadzeniach ludowych; czytelnie po wsiach zakładają się wprawdzie, ale więcej za inicyatywą samych włościan, bez udziału inteligencyi miejskiej. Gazety żywią swych czytelników drobnostkowemi lub formalnemi sprzeczkami, zostawiając bez wyjaśnienia, a często nawet bez wzmianki sprawy najważniejsze, dotyczące doniosłych ekonomicznych lub społecznych interesów ludu. I co najciekawsza: większa część przedstawicieli inteligencyi rusińskiej widzi te niedostatki, ten upadek ducha, a przecież nikt niczego nie robi, by się z niego wyrwać. Miejmy nadzieję, że taki stan, nienaturalny w żadnym żywym organizmie, długo potrwać nie może.

I. Franko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wszelkie zawikłania na półwyspie bałkańskim rozwiązano niby to pomyślnie, powody do starć zbrojnych usunięto, stwierdzono uroczyście zgodę mocarstw, ale pomimo to duszna atmosfera niepokoju, poprzedzająca zwykle wielką burzę, ciąży nad Europą. Po bliższem rozpatrzeniu nawet owe, szczęśliwie załatwione, sprawy bałkańskie okazują się tylko odroczonemi. Grecya rozbraja się, ale jednocześnie wojsko heleńskie napada na posterunki tureckie, rząd ateński intryguje w Albanii i stara się wywołać tam powstanie, Trikupis, który po kilkodniowem istnieniu gabinetu Valvisa objął ster władzy, daje zapewnienia pokojowe, ale znany jest w kraju jako gorliwy zwolennik wojny. W Bułgaryi odbywają się wybory do zgromadzenia narodowego, które zamierza ogłosić księcia Aleksandra królem zjednoczonego państwa, równocześnie zaś w Bur-

---

POWIEŚĆ.

OJCIEC

przez

Guy de Maupassanta.

Był urzędnikiem w ministerstwie oświecenia, a że mieszkał w Batignolles, jeździł więc codziennie rano do biura omnibusem. I codzień podróż tę odbywał do samego Paryża w towarzystwie nieznanego mu, młodego dziewczęcia, w którem się zakochał.

Ona także o jednej i tej samej godzinie spieszyła do magazynu. Była brunetką z rodzaju tych, których oczy wyglądają jak duże czarne plamy wśród twarzy o połysku kości słoniowej. Spostrzegał ją zawsze na zakręcie ulicy, biegnącą szybko i doganiającą ciężki powóz; zręcznie, zwinnie i lekko wskakiwała na stopień, nim jeszcze konie stanęły. Potem cokolwiek zmęczona siadała, rzucając koło siebie jedno ciekawe spojrzenie.

Kiedy ją Franciszek Tessier po raz pierwszy zobaczył, podobała mu się niezmiernie. Czasem spotykamy kobiety, które chcielibyśmy za pierwszym rzutem oka, nie znając, przycisnąć z całej siły do serca. To dziewczątko odpowiadało najgorętszym jego pragnieniom, marzeniom, słowem — ideałowi miłości, jaki każdy człowiek bezwiednie nosi w głębi swego serca.

Mimowoli wpatrywał się w nią uporczywie. Zmieszana, zarumieniła się. On to spostrzegł i chciał ją uwolnić od swego natarczywego wzroku, ale naprożno usiłował skierować oczy w inną stronę — zwracały się ku niej bezustannie.

Po kilku dniach znali się, chociaż z sobą nie mówili. Jeśli omnibus był pełny, Franciszek ustępował jej miejsca i wchodził na wierzch, chociaż go to do rozpaczy doprowadzało. Teraz witała go już uśmiechem, a chociaż spuszczała zawsze oczy pod jego palącym wzrokiem, widocznie wszakże nie gniewało ją to wpatrywanie się natarczywe.

W końcu zaczęli z sobą rozmawiać i od razu zawiązała się pomiędzy nimi zażyłość, trwająca codzień pół godziny. Dla niego te pół godziny było najcudniejszem w życiu spędzeniem czasu. Przez resztę dnia, wśród zajęć biurowych, myślał tylko o niej, jej obraz ścigał go bez ustanku, prześladował, pochłaniał najzupełniej, jak obraz gorąco ukochanej kobiety. Zdawało mu się, że posiadanie tej małej osóbki byłoby dla niego szczęściem nieopisanem, przechodzącem możliwość rzeczywistości.

Teraz już podawała mu rękę na dzień dobry, a on do wieczora był pod wrażeniem dotknięcia jej drobnych paluszków; wrażenie to było tak silne, że czuł jakby dreszcze, jakby prądy elektryczne, przebiegające po jego ciele.

Całe jego życie skupiało się w owem półgodzinnem z nią obcowaniu. Niedziele wydawały mu się straszne.

Prawdopodobnie i ona go kochała, bo jednej soboty, na wiosnę, zgodziła się pojechać z nim nazajutrz, na śniadanie do Maison-Laffitte.

* * *

Pierwsza przybyła na dworzec. Zdziwił się, ujrzawszy ją tak wcześnie, ale ona rzekła:

— Przed wyjazdem pragnęłabym z panem pomówić. Mamy jeszcze dwadzieścia minut, to więcej, niż trzeba.

Drżała, wsparta na jego ramieniu, oczy miała spuszczone, a policzki blade.

— Nie chciałabym, żebyś się pan co do mnie pomylił. Jestem uczciwą dziewczyną i pod takim tylko warunkiem pojadę, jeśli mi pan przyrzekniesz, jeśli mi przysięgniesz, że nic... że nic nie zrobisz... coby było... coby nie było... przyzwoitem...

gas policya odkrywa spisek na wolność a nawet na życie młodego władcy i jego ministra Karawełowa. W spisku tym przyjmują udział przeważnie czarnogórcy, chętnie najmujący się do tego rodzaju spraw, kieruje zaś nimi niejaki Nabokow, niegdyś oficer bułgarski.

Rumunia, jak pisaliśmy, odrzuciwszy ugodę celną zerwała zupełnie stosunki handlowe z Austryą; fakt ten doniosły pod względem ekonomicznym, posiada również znaczenie polityczne. W ostatnich dniach w jednem z pogranicznych miasteczek ludność rumuńska rzuciła się na kupców austryackich i poturbowała ich. Jakkolwiek Rumunia jest małem państwem, nie należy zapominać, że w razie wojny z Austryą położenie geograficzne nadaje jej wielką wagę, zresztą w Węgrzech mieszka około 2 milionów rumunów, w których świadomość narodowa jest już rozbudzoną.

Podczas bytności Najjaśniejszego Pana w Sewastopolu wydany został rozkaz do floty czarnomorskiej, w którym, obok oświadczenia, że Rosya pragnie prowadzić politykę pokojową, wyrażoną jest pewność, że gdyby jednak nastąpiły dni próby, flota rosyjska spełni swój obowiązek. Prasa nadaje wielkie znaczenie rozkazowi i uroczystemu wznowieniu floty czarnomorskiej. Obecnie Najjaśniejszy Pan przebywa w Moskwie i w Kremlu; odbędzie się zebranie osób zajmujących ważne stanowiska urzędowe lub społeczne. Oczekiwanemu przemówieniu Cesarza przypisuje nawet prasa zagraniczna decydujące znaczenie w obecnem naprężeniu politycznem.

Nietylko na Wschodzie wszakże zbierają się chmury, stosunki Francyi z Niemcami zaostrzają się również i wzajemna nienawiść coraz jawniej występuje w prasie obu narodów. Wszystko to są chmury, które rozejść się mogą, ale po pewnym czasie wrócą znowu.

Nawet spokojna Szwajcarya ubezpiecza się na wszelki wypadek i wydaje ustawę o pospolitem ruszeniu.

Z powodu małżeństwa księżniczki orleańskiej z następcą tronu portugalskim, hr. Paryża wystąpił w roli jawnego pretendenta do tronu francuskiego, rozesławszy zaproszenia na wieczór wszystkim posłom obcych mocarstw. Zuchwały ten postępek rząd republikański ukarać zamierza wygnaniem wszystkich książąt z Francyi.

We Włoszech odbywają się wybory do parlamentu, z dotychczasowych rezultatów sądzić można, że gabinet Depretisa otrzyma większość.

Rozprawy o samorządzie irlandzkim trwają ciągle, w razie odrzucenia bilu Gladstone otrzymał już zezwolenie królowej na rozwiązanie parlamentu.

Rozruchy anarchiczne przeniosły się do Włoch, w Turynie wykryto przygotowania do zaburzeń na obszerną skalę, aresztowano wskutek tego 120 osób i wydalono wielu cudzoziemców.

W Trani robotnicy uformowali kolumny bojowe, pozrywali druty telegraficzne i stoczyli walkę z wojskiem, które cofnęło się przed przemagającą siłą.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEŁOM BELGIJSKI.

La Crise économique en Belgique, par Louis Bertrand, rédacteur de *la Voix de l'Ouvrier*, Bruxelles, 1885. — Les Troubles en Belgique, par Emile de Laveleye, *Revue politique et littéraire*. Paris, 10 avril, 1886.

I.

Przełom belgijski, którego objawem były niedawne zaburzenia, sięga swym początkiem w przeszłość. Już z końcem roku zaprzeszłego belgijskie stowarzyszenie ekonomii politycznej zbierało się dla narad w tym przedmiocie. Wypowiedziano przy tej sposobności długie mowy. Między innymi zabierali głos ekonomiści francuscy: Leon Say i Fryderyk Passy, oraz belgijscy: Emil Laveleye i Eudor Pirmez. Przemówienie tego ostatniego nabrało pewnego rozgłosu, myśli przytem wypowiedziane podówczas, autor rozwinął następnie w obszernej rozprawie. Przytoczona powyżej broszura p. Bertranda jest właśnie odpowiedzią na wywody belgijskiego posła. Laveleye dopiero z powodu zaburzeń rozpisał się o tym przedmiocie obszerniej.

Z wyrażonemi przy tej sposobności zapatrywaniami zapoznamy bliżej naszych czytelników, Belgia bowiem jest typowym poniekąd obrazem gospodarki kapitalistycznej, jej zaś przełom ekonomiczny czuć się daje obecnie w całym świecie cywilizowanym.

Pirmez wystąpił z dosyć oryginalną teoryą. Należy on do kierunku, którego wybitnym przedstawicielem we Francyi jest Paweł Leroy-Beaulieu (szczególniej w dziele: *Répartition des richesses* — o podziale bogactw). Jest to szkoła optymistów, wywodząca swój rodowód od wolterowskiego doktora Panglossa, która wbrew najoczywistszym dowodom, niezmordowanie twierdzi, że stosunki obecne są na najlepszej drodze: zarobek i bogactwa krajów wciąż wzrastają — należy tylko trzymać się pilnie przepisów zasad wolnej wymiany a istny raj zapanuje na ziemi. Otóż, zgodnie z tym poglądem, twierdził Pirmez, że w Belgii nie ma przesilenia, lecz tylko przemijający niepokój (troubles), że wreszcie ono nie jest synonimem nędzy, lecz jedynie objawem przemieszczenia (déplacement) bogactw. Bogactwo kraju jest większe, niż kiedykolwiek, zarobek wciąż wzrasta — zmniejsza się tylko renta gruntowa i procent od kapitału — to sprowadza przełom. Autor bierze dwie wielkie gałęzie produkcyi: rolnictwo i kopalnie węgla, dowodząc, że spadek renty i zysków w tych przedsiębiorstwach ma swe źródło w zwiększeniu się płacy zarobkowej.

Pirmez pokazuje naprzód olśniewający wzrost „bogactwa narodowego." Przemysł belgijski używał w r. 1850 siły 54,300 koni parowych; w roku 1882 liczono 724,817. Wytwórczość sześciu głównych jego gałęzi przedstawiała w r. 1850 sumę 87 milionów fr. — w r. 1882 suma ta wzrosła do 415 milionów. Surowej bawełny przywieziono w r. 1850 — 10 milionów kilogramów, w r. 1882 — 25 m., wełny 4 i 57 milionów. Statystyka przewozu towarów kolejami państwowemi wykazuje również postępy. W r. 1850 przewieziono za 7 milionów towarów, w r. 82 za 77. Operacye bandlowe z zagranicą wyrażały się 1831 r. w sumie 460 milionów, 82 — w sumie 5 miliardów, 416 milionów! Wywóz i przywóz belgijski, który w r. 1835 wyrażał się w kwocie 311 milionów, wzrósł w 82 do 3 blisko miliardów! Belgia posiada więc olbrzymie siły produkcyjne, które szybko się rozwijały. Rozwój ten jednak ma swą odwrotną stronę. Kapitałyześrodkowywały się w coraz mniejszej liczbie rąk. Fakt ten jednak poniża Pirmez lubo go zaznacza, przechodzi zaś następnie do zmniejszania się renty i zysków od kapitału. Nazywa się to przesileniem, odbywa się ono jednak na rzecz wzrastającego wciąż zarobku. Autor rad z tych demokratycznych dążeń ekonomicznego rozwoju, dokonywającego się spokojnie, samą naturą rzeczy—

Nagle zarumieniła się, jak mak polny. Zamilkła.

Szczęśliwy, ale i zawiedziony cokolwiek, nie wiedział, co odpowiedzieć. W głębi duszy może i wolał, żeby tak było, a jednakże... jednakże tej jeszcze nocy łudził się marzeniami, które mu rozpalały krew w żyłach. Z pewnością mniejby ją kochał, gdyby wiedział, że żyje lekkomyślnie, ale z drugiej strony: jakby to było cudnie i rozkosznie! Całe mnóstwo samolubstwo w sprawie miłości staczało w nim walkę z lepszymi instynktami.

Ponieważ nic nie odpowiadał, odezwała się głosem wzruszonym, ze łzami w oczach:

— Jeśli pan nie przyrzekniesz szanować mię w zupełności, wracam do domu.

Przycisnął jej rękę czule i rzekł:

— Przyrzekam ci to; będziesz robiła, co sama zechcesz.

Odetchnęła swobodniej i spytała z uśmiechem:

— Czy naprawdę?..

Spojrzał jej w oczy głęboko.

— Przysięgam!...

— Weźmy bilety — rzekła.

W drodze nie mogli rozmawiać, gdyż wagony były przepełnione.

Przybywszy do Maison-Laffitte, skierowali kroki ku Sekwanie.

Ciepłe powietrze dziwnie miękko i ubezwładniająco działało zarówno na ciało jak i duszę. Promienie słońca, padając w całej pełni na rzekę, liście i trawniki, napełniały serce niewypowiedzianą błogością. Szli brzegiem rzeki, trzymając się za ręce i przypatrując rybkom, igrającym w wodzie gromadnie. Szli upojeni szczęściem, jak gdyby uniesieni w nadziemskie przestwory. W końcu ona rzekła:

— Bierzesz mnie pan pewno za szaloną?

— Dlaczego?.. — spytał.

— Czyż to nie szaleństwo przyjechać tu z panem?..

— Alež, bynajmniej, to bardzo naturalne.

— Nie! nie!.. to wcale nienaturalne... dla mnie przynajmniej, bo ja nie chcę nic złego zrobić, a w taki właśnie sposób się błądzi. Ale gdyby pan wiedział, jak to smutno żyć, kiedy wszystkie dni miesiąca i wszystkie miesiące roku są do siebie podobne! Mieszkamy same tylko we dwie z mamą. Mama doznała w życiu wiele zmartwień, to też nie jest wesoła. Ja radzę sobie, jak mogę. Staram się śmiać, śpiewać, lecz niezawsze mi się to udaje. Z tem wszystkiem nie powinnam była tu przyjechać. Przynajmniej mi pan tego nie weźmiesz za złe...

Za całą odpowiedź pocałował ją w ucho. Odskoczyła od niego żywo i nagle zagniewana zawołała:

— Oh! panie Franciszku! po przysiędze, jakąś pan uczynił...

Wrócili do Maison-Laffitte. Jedli śniadanie w Małym Porcie nad brzegiem wody, w niskim domku, osłoniętym czterema olbrzymiemi topolami.

Świeże powietrze, upał, białe wino i bliskie wzajemne sąsiedztwo, wszystko to wywoływało rumieńce na ich twarze, mieszało ich i usposabiało do milczenia.

Ale nagle po kawie ogarnęła ich wesołość i przeszedłszy przez most, udali się brzegiem rzeki ku wiosce La Frette.

On ją zapytał:

— Jak pani na imię?..

— Ludwika.

Powtórzył: Ludwika, i nie dodał nic więcej.

Rzeka, zaginając się w tem miejscu, odbijała w swej toni cały szereg białych domków, przeglądających się wdzięcznie w srebrzystej wodzie. Dziewczę zbierało stokrótki i układało wielką, polną wiązankę, on zaś wesoły i swobodny jak źrebak puszczony na trawę, śpiewał na całe gardło.

Z lewej strony ciągnęło się wzgórze pokryte winnicami. Nagle Franciszek stanął przykuty do miejsca ze zdumienia i zawołał:

— Oh! patrz!

Winnice znikły, a ich oczom ukazała się przestrzeń dwu lub trzy wiorstowa, zarosła bzem kwitnącym. Istny las fioletowy,

p. Pirmez bowiem jest demokratą w granicach dobrodziejstw dzisiejszego porządku. Zobaczymy, o ile optymizm ten jest usprawiedliwiony.

Zacznijmy od rolnictwa. Zdaje się ono cierpieć najwięcej. Jakoż istotnie statystyka urzędowa zaznacza upadek cen ziemi. Hektar gruntu, który w r. 1874 wart był 4,439 fr., spadł do 4,060 fr., co daje dla Belgii zmniejszenie wartości ziemi o miliard przeszło — fakt, sprzeciwiający się optymistycznemu twierdzeniu autora o ciągłym wzroście bogactw. Akcye przemysłowe na giełdzie spadły również w cenie. Pirmez pociesza się jednak tem, że ilość przedmiotów spożycia i zbytku *raczej* się zwiększyła, niż pozostała tą samą, widać bowiem wszędzie wspaniałe sklepy przepełnione towarami. Ekonomista zapomina jednak spytać, czy towary te są kupowane — charakterystyczną zaś cechą przesileń, co jeszcze zauważył Fourier, jest okoliczność, że są one objawem przekrwienia (pléthoriques) i że dziwną ironią stosunków ekonomicznych wynikają zwykle z nadmiaru produkcyi. Prócz ceny ziemi spadły również w rolnictwie ceny dzierżawne. Spadek ten wynosi dziś 25% dawniejszych. O zmniejszenie to oskarża autor płacę zarobkową. Zarobki robotników wiejskich, które w r. 1863—65 wynosiły 1.55 fr., wzrosły w r. 1882 do 2.02. Płaca miała w ciągu dwudziestu lat ostatnich wzróść o 25%. Należy jednak zauważyć, że autor bierze cyfry powyższe z majątku jednego ze swych kolegów, nie są one więc średniemi. Jeżeli zresztą zarobek robotników wiejskich podwyższył się, to zwiększyła się jednocześnie produkcyjność pracy. Ekonomista Brassey zawarł to nawet w prawie, orzekającem, iż „najniższe zarobki kosztują najdrożej.“ Podwyższenie płacy nie może być znaczne, coraz bowiem z ograniczeniem produkcyi rolnej, wskutek spadku renty, popyt na pracę się zmniejszył, podaż zaś jej wzrosła. Podwyższenie przytem ceny zarobku wtedy dopiero przedstawi nam się w właściwem świetle, gdy porównamy je z równoległem podwyższeniem artykułów spożywczych, artykuły te zaś, według nawet Pirmeza, znacząco wzrosły w cenie, wyrównywając tem niejako spadek cen zboża. Wzrost płacy zarobkowej jest więc raczej pozorny, niż istotny. Tendencyjnem zaś i nieścisłem jest szukanie przyczyn przesilenia rolnego jedynie w podwyższeniu płacy.

Na przesilenie to wiele się przyczyn złożyło. Przedewszystkiem zmniejszenie ceny transportu rozszerzyło rynki zbytu i powołało do zwycięskiego współzawodnictwa kraje, postawione w lepszych warunkach pod względem produkcyi. Płaca dzienna robotnika wiejskiego wynosi w Belgii średnio 2 fr., w Ohio zaś 5, w Diagonie 6 fr. i więcej, nie sprowadzało jednak w Stanach Zjednoczonych przełomu rolnego. Renta przytem gruntowa w Ameryce jest niezwykle niską, nie powoduje to jednak przełomu, lecz przeciwnie przyczynia się do zwycięskiego współzawodnictwa. Można jednak zauważyć w Ameryce objaw przeciwny: renta gruntowa podnosi się. Podwyższenie to objaśnia się przedewszystkiem zwiększeniem popytu na ziemię. Liczba dzierżawców w Stanach Zjednoczonych wzrasta w lat dziesięć (1870—80) o 1,200,000 — liczba najemników tylko o 500,000.

Bertrand robi trafną uwagę, że gdyby ceny transportu w Ameryce nie mogły być znacznie obniżone, renta zaś wciąż wzrastała, konkurencya amerykańska stałaby się mniej groźną dla Europy.

Jest jednak inny czynnik, który przeszkodzi zapewne znaczniejszemu podwyższeniu cen amerykańskiego zboża, nawet gdyby renta gruntowa wciąż wzrastała. Czynnikiem tym są zmniejszającesię wciąż koszta produkcyi zbożowej. Od r. 1879 koszta te spadły o 30%. Na obniżenie to wpływa wzrastająca wciąż „industryalizacya“ produkcyi rolnej w Ameryce, zjawisko, pozostające w sprzeczności z wzrastaniem renty, jak to wykazał już Hyndman w piśmie *To-Day*. Rudolf Meyer w *l'Association catholique* i Paweł Lafargue w *Journal des Economistes*, opisali nam szczegółowo owe „fermy finansowe“ amerykańskie, fabryki na olbrzymich przestrzeniach, posługujące się siłą pary i armią całą wojskowo zorganizowanych robotników. Z tą wielką maszynową produkcyą jakże może walczyć skutecznie drobna własność europejska. Rolnikom europejskim pozostaje jedyna może nadzieja w przewidywanych zaburzeniach rolnego amerykańskiego proletaryatu... Grozi im zresztą nietylko współzawodnictwo amerykańskie, lecz indyjskie, perskie, australskie etc. Rolnicy wołają wprawdzie o cło ochronne — środek to jednak trudny do zastosowania w krajach przemysłowych. Przywóz zbożowy belgijski od 1880—82 r. doszedł do miliarda, gdyby kładziono mu tamę, przemysł belgijski, trudno dziś walczący z konkurencyą europejską, uległby pod tym ciężarem.

Skuteczniejszym środkiem byłaby zmiana uprawy. Powiększenie obszarów gruntowych, zamiana zresztą gruntów ornych na pastwiska. Zamiany tej landlordowie angielscy dokonali w części, na niekorzyść drobnych właścicieli wiejskich, jak to wykazał wymownie Marx. W r. 1880 grunty orne stanowiły w Irlandyi tylko 25% przestrzeni ogólnej, gdy pastwiska tworzyły 50%. Co jednak udało się dotychczas lordom angielskim, to wobec demokratyzowania się społeczeństw, staje się rzeczą coraz trudniejszą do przeprowadzenia.

Inny jeszcze czynnik stawia producentów europejskich w położeniu niekorzystnem względnie do współzawodnictwa zamorskich. Mówimy o zwiększaniu się ciężarów publicznych. Od r. 1860—80 budżet belgijski zwiększył się w dwójnasób, ze 159 milionów wzrósł do 350.

Biorąc wszystkie powyższe względy pod uwagę, zapominać jeszcze nie należy, gdy mowa o przesileniu rolnem, o pewnem szczególnem zjawisku. Do roku 1874 ceny ziemi i renta gruntowa wzrastały nader szybko. W Belgii renta od 1846 do 1874 podwoiła się. Od tego czasu zaczął się przełom w kierunku przeciwnym. Renta spada, jest to jednak tylko reakcya przeciwko nadmiernemu podwyższeniu w okresie poprzednim. Nadmieniliśmy, że wiele przyczyn wpłynęło na to obniżenie. Jeżeli w drobnym stosunku przyczynił się do tego wzrost zarobków, to czynnik ten dalekim jest od znaczenia, jakie mu przypisuje liberalny ekonomista. Wzrost zarobków za lat dwadzieścia o 25% jest drobnem podwyższeniem w stosunku do podskoku cen wszystkich prawie artykułów spożywczych, poziomu potrzeb owego *Standard of life*, który demokracya wciąż, lubo z trudem, podnosi. Jeżeli co uległo zniżeniu, to ceny fabrykatów, przedmiotów zbytku. Zniżenie to jednak idzie głównie na korzyść klas zamożniejszych. Robotnik wydaje na potrzeby najkonieczniejsze 80% swego zarobku, gdy ludzie zamożni zazwyczaj tylko 20%. Z ogólnego postępu kultury robotnik korzysta w drobnej zaledwie mierze, dźwigając na swych barkach czasy przesilenia, bezrobocia, ciężar podatków pośrednich, każdą przytem najmniejszą swą zdobycz z trudem musi wywalczać.

E. P.

---

ciągnący się jak olbrzymi dywan aż do samej wioski.

Ona także stanęła zachwycona, wzruszona, szepcząc:

— Oh! jakież to cudne!

Przeszedłszy przez pole, pobiegli ku temu niezwykle pięknemu wzgórkowi, który corocznie zaopatruje Paryż w bez, sprowadzany do miasta każdodziennie w małych wózkach przekupniów.

Wąska ścieżka wiła się wśród krzewów; szli nią czas jakiś, a spostrzegłszy małą polankę, usiedli.

Roje much różnorodnych otaczały ich, napełniając powietrze łagodnem i jednostajnem brzęczeniem, a słońce, wspaniałe słońce na niebie bez chmurki, rzucając snopy światła na ten jedyny w swoim rodzaju bukiet, wydobywało zeń woń potężną, rozkoszną, upajającą.

W dali słychać było odgłos dzwonu kościelnego.

I mimowoli prawie pocałowali się, potem uścisnęli, zapomniawszy o świecie całym. Ona z przymkniętemi oczami, bez myśli, bez pamięci, nieprzytomna w bezwiednym uścisku i namiętnem oczekiwaniu zarzuciła mu ręce na szyję, nie wiedząc, co robi, nie rozumiejąc nawet, że należy do niego.

Ocknęła się w poczuciu strasznego nieszczęścia; zaczęła płakać, jęczeć boleśnie, ukrywszy twarz w dłoniach.

Starał się ją pocieszyć, ale ona chciała natychmiast jechać, wrócić do domu. Powtarzała ciągle, chodząc wielkimi krokami:

— Mój Boże! mój Boże!..

On ją prosił:

— Ludwiko! Ludwiko!.. zostańmy, błagam cię...

Nie dała się jednak uprosić, biegnąc na dworzec z wypiekami na twarzy i zapadniętemi oczami. Jak tylko stanęli w Paryżu, wyskoczyła z wagonu, nie pożegnawszy się z nim nawet.

* * *

Kiedy ją nazajutrz zobaczył w omnibusie, wydała mu się bardzo mizerna i zmieniona.

— Chcę z panem pomówić — rzekła — wysiądziemy na bulwarze.

Kiedy byli sami na chodniku, odezwała się:

— Musimy się pożegnać. Po tem, co zaszło, nie mogę pana widywać.

— Ależ dlaczego?.. — wyjąknął.

— Dlatego, że nie mogę... Popełniłam błąd, więcej go popełniać nie chcę.

Wtedy on, trawiony pragnieniem posiadania jej, prosił, błagał, zaklinał, wszystko naprózno.

Odpowiadała uparcie:

— Nie, nie mogę. Nie, nie mogę.

On coraz więcej się zapalał, w końcu obiecał się z nią ożenić. I na to odpowiedziała:

— Nie!.. — i odeszła.

Nie widział jej przez całe dni osiem. Nigdzie jej nie mógł spotkać, a ponieważ nie wiedział, gdzie mieszka, sądził, że ją stracił na zawsze.

Dnia dziewiątego wieczorem zadzwoniono do drzwi; poszedł otworzyć, była to ona. Rzuciła mu się na szyję i nie opierała się wcale.

Przez trzy miesiące była jego kochanką. Zaczynał się nią już nudzić, kiedy mu oznajmiła, że zostanie matką. Wtedy o niczem innem nie myślał, jak tylko, aby za jakąbądź cenę zerwać ten stosunek.

Ponieważ nie wiedział, jak się wziąć do tego, co powiedzieć, co zrobić, a śmiertelnie się lękał widocznych już następstw, wyprowadził się więc jednej nocy i zniknął bez śladu.

Cios był tak straszny i brutalny zarazem, że Ludwika nie starała się nawet odszukać uwodziciela, który ją w tak ohydny sposób opuścił. Rzuciła się matce do nóg, opowiedziała jej o swojem nieszczęściu, a w kilka miesięcy wydała na świat syna.

* * *

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

W. Gomulicki. **Obrazki prawdziwe.** Warszawa.

Na Gomulickim spoczywa i nigdy jego głowy nie opuści klątwa... poezyi. Cokolwiek i w jakiejkolwiek formie on pisze, nigdy nie przestaje być poetą. Malując jakiś obrazek, tu i owdzie rzuci kilka rysów realnych, ale całość wyjdzie z pod jego ręki idealistycznie, choćby nawet ta ręka zanurzyła się w męty życia. W jednej z powiastek zbiorku, którym dziś zajmujemy się, przedstawia epikurejczyka, unikającego wszelkich wstrząśnień, tłumiącego żywsze uczucia, wyznającego, że „praca jest gwałtem,“ że „z biletem w ręku idzie na scenę świata, a tłum odgrywa przed nim komedye i dramaty.“ Otóż razu pewnego ten wystudzony człowiek, wracając z nocnej wycieczki, usłyszał przez otwarte okna dźwięki pięknie granej sonaty Beethovena. Usiadł na ławce, słuchał, wreszcie oklaskał artystkę. Ona wyszła na balkon, rozpoczęła rozmowę, zaprosiła nazajutrz do siebie dziwaka, który postawił jej dwa warunki, ażeby podczas odwiedzin nie było dzieci a był jego ulubiony pies — i zawiązał się romans. Ten idealistyczny wątek charakteryzuje doskonale twórczość powieściową Gomulickiego, który lubi w swych pomysłach — jak zwykle poeci — zawieszać prawa rzeczywistości i stanowić prawa fantazyi. Logika natury ludzi i rzeczy, za którą tak ugania się naturalizm, naszego autora nie nęci lub odstręcza. Czy on ukazuje męczennika, w którym szlachetny płomień natchnień wypala się na marne użytki i szybko gaśnie (Celio), czy przekupkę, umierającą w rozkosznem marzeniu, wywołanem na mrozie wódką (Nieprzespany sen pani Maciejowej), czy starą pannę, która poświęca swoje samolubstwo dla ratowania rodziny (Z cudzego ula) — zawsze dystyluje soki rzeczywistości na lotne i wonne olejki. Skutkiem tego kreśli on obrazki piękne, ale wcale nie „prawdziwe.“ Za to jakże nieraz piękne są te sny poetyckie!

W jednej tylko może powiastce: „Swój do swego“ widzimy chęć wiernego portretowania życia. Zużyty i bogaty hrabia osadził w zbytkownej klatce dziewczynę, która zatęskniła do „swoich“ i wykradała się wieczorami do szynku, gdzie ją bił lub całował prosty chłopiec. Doskonałą jest scena, gdy Mańka, niechcąca być Manon, złapana przez swego posiadacza na jednej z takich wycieczek, odpiera jego kazanie słowami: „Mój kochany, jesteś głupi,“ a otworzywszy pianino śpiewa wesoło:

> Tatuś okradł ludzi siła,
> Siedzi na Pawiaku;
> Mama folwark podpalita
> I dynda na haku;
> Wiatr nią buja tak i tak,
> To ci panie mocny hak!

To przebudzenie się upodobań odziedziczonych lub wcześnie nabytych jest wyrażone znakomicie.

Najmilszą dla muzy Gomulickiego jest sfera drobnego mieszczaństwa, ta warstwa, która biegnie środkiem pokładów społecznych i ciągle nachyla się ku dolnym. W technice znowu czuć wpływ francuski: zręczność, smak, żywość i usiłowanie efektownego kojarzenia kontrastów. Chociaż to także zaleta francuska, zaliczmy ją wszakże do przymiotów osobistych autora, mianowicie wytworność formy. Gomulicki jest jednym z bardzo nielicznych u nas pisarzów troskliwych o czystość i wdzięk szaty zewnętrznej, którą umie przykrawać i zdobić mistrzowsko. W czasach, kiedy nietylko nieprzyjaciele, ale i czciciele naszego języka zarażają go obcemi przymieszkami i zanieczyszczają niedbalstwem, kiedy nawet autorowie wysoko szacowani chlustają na papier wyrażenia, którenależałoby przecedzić przez sito gimnazyalnej stylistyki — taka troskliwość zasługuje na szczególniejsze uznanie — tem większe, że często wznosi się do wysokiego artyzmu. Z naszego stanowiska zasługuje na nie również swobodne tchnienie, po tych ślicznych „obrazkach“ rozlane.

M. Gawalewicz. **Figiel Benvenuta.** Warszawa.

„Figiel“ jest ulubioną kanwą, na której p. Gawalewicz dzierga swe dramatyczne obrazki. Psychologicznie da się to wytłomaczyć łatwo. Autor należy do optymistów, do ludzi patrzących, jeżeli nie przez różowe, to w każdym razie przez wesoło barwne okulary, widoków posępnych unika, od dramatów bolesnych się odwraca, a z niwy życia zrywa słodkie truskawki, wybierając je zręcznie z pomiędzy pokrzyw. Nieraz zdaje się, że gdyby umarł, przypuszczonoby z pogodnej twarzy, że tylko zasnął w letargu. Jako kronikarz, jako autor powiastek i komedyjek nigdy nie krzyknął cierpieniem i zgrozą, lecz zawsze umiał zachować uśmiech. Tego rodzaju pisarz nie będzie obnażał wstrząsającej prawdy, nie będzie się zapuszczał w ciemne otchłanie życia, leczusiądzie sam i zaprosi czytelników swoich na słońce, śród zapachu kwiatów. Odtworzy dramat — w nieporozumieniu, komedyę — w figlu. Po za granice tych niewinnych pomysłów nie wyjdzie.

Figiel Benvenuta, jak wszystkie figle, ma treść pajęczą. Słynny rzeźbiarz przebrał młodego chłopca, swojego ucznia, za dziewczynę i zmistyfikował nim swych towarzyszów oraz kochankę. Śmiano się podczas zalotów do mniemanej dziewoi, śmiano się po odkryciu intrygi — to wszystko. Nie wszystko, bo jeszcze dodać trzeba, że autor w tym swoim rodzaju, w wyrabianiu tych cacek, tej galanteryi literackiej posiada osobny i miły talent.

H.

Literatura czeska.

Wznowienie sporu o autentyczności rękopisów królowodworskiego i zielonogórskiego.

III.

Nie tak łatwo i nie tak prędko spór ten się zakończy, jakby się zdawać mogło i jakbyśmy tego życzyli. Przystępują coraz nowe siły do walki; dyskusya rozszerza się i pogłębia. Obrońcy wytaczają na plac stare armaty, które nie tyle celnie, ile głośno strzelają. Przeciwnicy używają przeważnie drobniejszej broni — dowodów szczegółowych, naukowych i krytycznych, a pociski ich odznaczają się, wyznać należy, wielką trafnością i daleko a głęboko sięgają.

Stosownie do przyrzeczenia, zaznajamiam dzisiaj czytelników *Prawdy* z dalszym ciągiem rozpraw, pomijając puste strzały dzienników i zbyt drobiazgowe zacieki, które tutaj byłyby nie na miejscu.

Mam przed oczami zeszyty marcowy i kwietniowy *Athenaeum*, takież *Osvěty*

Upływały lata. Franciszek Tessier starzał się, a żadna zmiana nie zachodziła w jego życiu. Pędził życie właściwe urzędnikom, smutne, jednostajne, beznadziejne. Codziennie wstawał o jednej i tej samej godzinie, przechodził jedne i te same ulice, stawał przed temi samemi drzwiami, przed tym samym odźwiernym, wchodził do tego samego biura, siadał na tym samym stołku i załatwiał jedną i też samą robotę. Był sam na świecie, sam wśród dnia, pomiędzy obojętnymi współtowarzyszami, sam w nocy w swojem kawalerskiem mieszkaniu. Oszczędzał miesięcznie sto franków, na starość.

Co niedziela, szedł spacerem na Pola Elizejskie, aby popatrzeć na świat wykwintny, na strojne kobiety i piękne powozy.

Mówił nazajutrz do swego towarzysza biurowej niedoli:

— Wczoraj powrót z lasku był świetny.

Otóż jednej niedzieli, przypadkiem, idąc przez nowe ulice, wszedł do parku Monceau. Ranek letni był prześliczny.

Bony i matki, siedząc na ławkach wzdłuż szerokich alej, przypatrywały się dzieciom, bawiącym się przed nimi.

Nagle Franciszek Tessier zadrżał. Jakaś kobieta przechodziła, trzymając za rękę dwoje dzieci: chłopczyka dziesięcioletniego może i dziewczynkę czteroletnią. To była ona.

Oddalił się o jakie sto kroków i padł na krzesło, nie mogąc oddychać ze wzruszenia. Nie poznała go. Wrócił, chcąc ją jeszcze zobaczyć. Siedziała na ławce, obok niej chłopczyk, a dziewczynka bawiła się w piasku.

Tak, to była ona, ona niezawodnie. Ubrana skromnie, wyglądała bardzo przyzwoicie, poważnie i szlachetnie.

Patrzał na nią z daleka, nie śmiejąc się zbliżyć. Chłopczyk podniósł głowę. Franciszek Tessier poczuł dreszcz, przejmujący go od stóp do głowy. Zapewne to syn jego. W rysach chłopczyka dopatrzył zupełne podobieństwo do siebie, jakim się widział na fotografii ze swoich lat dziecięcych.

Stał ukryty za drzewem, czekając na jej odejście, aby pójść za nią.

Nie spał noc całą; przedewszystkiem dręczyła go myśl o dziecku. Jego syn! Oh! gdyby był wiedział! gdyby był pewny? Ale i cóżby był zrobił?

Starał się zasięgnąć o niej wiadomości. Dowiedział się, że zaślubiła swego sąsiada, zacnego i porządnego człowieka, który wzruszony jej niedolą, nietylko że jej przebaczył błąd popełniony, ale jeszcze przyjął za swoje dziecię... jego, Franciszka Tessier dziecię.

Co niedziela wracał do parku Monceau, co niedziela ją widział i co niedziela ogarniała go szalona, niepowstrzymana ochota chwycenia swego syna w ramiona, uściskania go, ucałowania, porwania, ukradzenia.

Cierpiał bardzo, skazany na życie starokawalerskie, samotne, bez cieplejszego uczucia; teraz zaś cierpiał strasznie, owładnięty miłością ojcowską, na którą się składały: wyrzuty sumienia, zazdrość, zawiść i potrzeba ukochania tych drobnych istot, będących ciałem naszego ciała i kością naszej kości.

W końcu odważył się na krok zuchwały. Kiedy jednego dnia wchodziła do parku, stanął przed nią blady, jak śmierć, i ustami trzęsącemi się, jak w febrze, wyrzekł:

— Czy mnie pani nie poznaje?..

Podniosła oczy, popatrzyła na niego, wydała okrzyk przerażenia i odrazy a chwyciwszy dzieci za ręce, uciekła, ciągnąc je za sobą.

Wrócił do domu, aby się wypłakać.

Znów mijały miesiące, a on jej nie widział, ale cierpiał dzień i noc, gryziony i trawiony ojcowską miłością.

Dla jednego uścisku swego syna byłby chętnie poniósł śmierć, popełnił zbrodnię, najcięższe wykonał roboty, stawił czoło największym niebezpieczeństwom, rzucił się na najzuchwalsze przedsięwzięcia.

Napisał do niej, nie otrzymał jednak odpowiedzi. Po wysłaniu napróżno dwudzie-

i ważny numer z d. 11 maja *Hlasu národa*; podaję krótkie z nich sprawozdanie.

Pierwsze z tych pism przynosi artykuł prof. Masaryka, który na wstępie prosi, aby spór o te rękopisy odbywał się z równym spokojem, jak zbadanie świętości Jana Nepomucena w znanym pojedynku (na pióra) prof. Tomka z p. Votkiem. Rozwija dalej plan wszechstronnej krytyki, z punktu dziejowo-literackiego, gramatycznego, historycznego w ścisłem rozumieniu, estetycznego i paleograficznego.

Odpiera zarzut, którego nadużywają obrońcy rękopisów. Powtarzają oni ciągle: jeżeli zabytki owe uważacie za sfałszowane, to wskażcież, kto je sfałszował i kto mógł to uczynić; my bowiem twierdzimy, że w r. 1817 nie było w Czechach żadnej żywej duszy, któraby zdołała napisać te poezye; nie żył wówczas nikt, ktoby posiadał tyle natchnienia poetycznego i tyle znajomości starej czeszczyzny, aby módz zaimprowizować tak piękne i takim językiem napisane utwory; Hanka zbyt lichym był poetą, a Jungman zbyt prawym człowiekiem, iżby tego dokonać mogli.

Na to pan M. odpowiada: kiedy mi się dostanie w ręce podrobiony banknot, to przedewszystkiem stwierdzam i stwierdzić muszę fakt jego fałszywości; kto zaś tego dopuścił się, to mię nie obchodzi; sam fakt sfałszowania dowodzi dostatecznie, że fałszerz był; a jak się nazywał, to do rzeczy nie należy; śledztwo późniejsze może to wykryć, albo i nie wykryć.

Co do Hanki, weszło w modę wystawiać go jako niezdarnego wierszokletę, jak z drugiej strony podnosić nad miarę zalety rękopisów; w obu tych rzeczach jest widoczna przesada.

Po tym wstępie Masaryka, czytamy artykuł prof. Gebauera, będący odpowiedzią na obronę rękopisów, zamieszczoną w *Osvecie*, pióra p. Kalouska, oraz inną, napisaną przez pewnego nauczyciela języka czeskiego; w obu nie ma ważniejszych dowodów, chyba ten tylko, jak niedokładnie znają starą czeszczyznę nawet jej nauczyciele.

Charakterystyczną jest następna prośba autora: „Proszę, aby nie odmawiano wolności badaniom naukowym, nie potępiano nikogo i nie zarzucano braku patryotyzmu, chociażby poszukiwania jego doprowadziły do wniosków niemiłych. Nie domagam się przecie niczego niezwykłego, lecz tego tylko, czego się nigdy nie zabrania badaczom naukowym.“

Dalej prof. Gebauer wykazuje 42 zboczenia od normalnej staroczeszczyzny w 22 wierszowym urywku p. t. „Jagody.“ Podniosę tu z nich parę, które, zdaniem mojem, samo by starczyły na zachwianie najgłębszej wiary w autentyczność rękopisu królowodworskiego. Wiersze 17 i 18 brzmią:

moie mila v pochladecze
na mile° zdaie;

znaczy to: „moja miła w chłodku czeka miłego.“

Wyraz *pochladeczek* znajduje się tylko w podrobionej pieśni miłosnej króla Wacława; w innych zabytkach czeskich, ani w mowie potocznej dzisiejszej nie spotyka się; napisany jest on w wierszu 11 „v pochladeczce,“ tutaj zaś „v pochladecze;“ lecz o to mniejsza: pisarze średniowieczni nie bywali konsekwentnymi w pisowni i często głoski opuszczali; ważniejszem jest *na* stojące przy słowie *zdaie*. Tak staroczeskie i staropolskie *żdać*, jak *czekać*, rządziły i rządzą we wszystkich językach słowiańskich drugim przypadkiem: po rosyjsku np. *żdatь kogo*; czysto po czesku i po polsku *czekać kogo*, nigdy *na kogo*. To *na* wkradło się do czeskiego i naszego języka dopiero w ostatnich kilku lat dziesiątkach, pod wpływem niemieckiego *warten auf*...; o tem łatwo się przekonać na przykładach słowników czeskich i polskich pod wyrazami *čekati*, dziś nieużywanym *ždáti*, *czekać* i staropolskiego *żdać* (np. w słowniczku psałterza floryańskiego wyd. Nehringa str. 247). W innem miejscu rękopisu królowodw. znajdujemy toż *na* po *ždáti*, a w innem jeszcze: *valku ždáti*, więc z czwartym przypadkiem zamiast z drugim.

Rozwiodłem się nad dwoma wierszami rękopisu, aby czytelnikowi dać wyobrażenie, o co mianowicie chodzi w zarzutach językowych; takich, jak powyższe, jest wiele, bardzo wiele...

Łączą się z nimi zarzuty paleograficzne, które prof. Masaryk pokrótce formułuje: niezwykłość pisma, cienkość pergaminu, zbyt wiele podskrobywań itd.

Nie mniej ciężkimi są trzy jeszcze: ten naprzód, że nikt z kronikarzy i wogóle pisarzy staroczeskich ani słowem jednem nie wspomniał o pieśniach, które, jako mające być starodawnemi, znane przecież być musiały jeżeli nie całemu narodowi, to przynajmniej jego inteligencyi. Przypomnijmy sobie często wzmianki naszych kronikarzy o wierszach z powodu różnych okoliczności dziejowych; każdy ma sobie za obowiązek wspomnieć o nich i przytoczyć choć parę wierszy, jeżeli nie całość. Utwory te kronikarz średniowieczny uważał za dokumenty i czuł się obowiązanym je cytować. Tymczasem przez cały ciąg dziejów czeskich pisarze o utworach królowodworskich i zielonogórskich milczą uparcie...

Powtóre: miało być ich niezmiernie wiele; ułamki, zwane królowodworskimi, noszą napis: *księgi trzeciej rozdział 25 do 28*; więc miało być ogółem w zbiorze tym ze dwieście dłuższych i krótszych utworów. Co się stało z innymi? Czy mogły bez wszelkiego śladu zaginąć; dlaczego nikt a nikt z pisarzy czeskich dawniejszych ani słowem jednem nie wspomniał o tym ogromnym zbiorze, o zbieraczu, o czasie zbierania?

Trzeci, bardzo ciężki zarzut stanowią wykazy miejsc paralelnych w nowszych pisarzach i pieśniach ludowych, nietylko czeskich, ale wogóle słowiańskich, zgadzających się w wyrazach, wyrażeniach, zwrotach, przenośniach i wogóle figurach retorycznych z podejrzanymi zabytkami.

Co do wyrazów pojedynczych, muszę kilku słowami rzecz wyjaśnić, gdyż mało jest u nas znaną.

Gdy na początku bieżącego stulecia czesi zbudzili się z wiekowego letargu, język ich, przez lat z górą dwieście nieuprawiany, nie odpowiadał postępowi narodu w myślach i kulturze. Chcąc go dogonić, twórcy najnowszego piśmiennictwa czeskiego musieli wzbogacić słownik swój zapasem ogromnej ilości wyrazów i zwrotów. Poczęli więc wskrzeszać stare słowa, czerpiąc je z ogłoszonych już naówczas niektórych zabytków staroczeszczyzny; ale to nie wystarczało: brali więc garściami na prawo i na lewo od pobratymców, polaków i rosyan gotowe i utarte wyrazy, a gdy i to nie starczyło, kuli nowe, czasami trafnie, czasem niefortunnie.

Literatura piękna rozpoczęła się, jak zwykle, od przekładów. Pomiędzy niemi jedno z najwybitniejszych miejsc zajęło tłomaczenie *Raju straconego* przez Jungmana. Wyborny ten znawca starej czeszczyzny, autor doskonałego, obszernego słownika czeskiego, dokonał przekładu dzieła Miltonowego z wielkim wprawdzie trudem, ale z nie mniejszem powodzeniem. *Raj stracony*, jak wiadomo,-z natury treści swojej, rozporządza ogromnym zasobem wyrazów, wyrażeń, zwrotów i figur. Dla piszących po Jungmanie, przekład ten słu-

---

stu listów zrozumiał, że nie może się łudzić nadzieją przebłagania jej. Wtedy zrobił rozpaczliwe postanowienie, gotowy nawet na kulę rewolwerową, jeśli tego będzie potrzeba. Napisał do jej męża te kilka wyrazów:

„Panie!

„Nazwisko moje jest zapewne dla pana przedmiotem wstrętu. Ale jestem tak nieszczęśliwy, tak bardzo cierpię, że w panu jedynie całą nadzieję pokładam.

„Proszę pana tylko o dziesięć minut rozmowy.

„Mam zaszczyt itd.“

Nazajutrz odebrał odpowiedź:

„Panie!

„Czekam pana we środę o godzinie piątej.“

* * *

Wchodząc na schody, Franciszek Tessier zatrzymywał się na każdym stopniu, tak mocno mu biło serce. Czuł w piersi gwałtowne, głuche uderzenia, oddychał z wysiłkiem i musiał się trzymał poręczy, żeby nie spaść.

Na trzeciem piętrze zadzwonił. Służąca drzwi otworzyła.

— Czy tutaj mieszka pan Flamel? — zapytał.

— Tutaj, proszę wejść.

Wszedł do mieszczańskiego saloniku. Był sam; stał nieprzytomny prawie, jakby w oczekiwaniu jakiego nadzwyczajnego nieszczęścia.

Drzwi się otworzyły; ukazał się mężczyzna w czarnym surducie, wysoki, poważny, cokolwiek otyły i wskazał ręką krzesło.

Franciszek Tessier usiadł i zaczął mówić głosem przerywanym:

— Panie... panie... nie wiem, czy pan wiesz, kto ja jestem... czy pan wiesz...

Pan Flamel przerwał:

— To zbyteczne, panie, wiem. Moja żona wspominała mi o panu.

Powiedział to z mieszczańską powagą i godnością uczciwego człowieka, który chce się okazać surowym. Franciszek Tessier mówił dalej:

— Otóż, panie, przyszedłem tu, bo umieram ze smutku, z wyrzutów sumienia, ze wstydu i chciałbym raz, raz tylko jeden uściskać... dziecko...

Pan Flamel podniósł się, zbliżył do kominka i zadzwonił. Weszła służąca.

— Zawołaj Ludwisia — rzekł.

Po wyjściu służącej czekali w milczeniu, nie mając sobie nic do powiedzenia.

Po chwili wbiegł do saloniku dziesięcioletni chłopczyna i w podskokach zbliżał się do tego, którego uważał za swego ojca, ale spostrzegłszy nieznajomego, zatrzymał się zmieszany.

Pan Flamel pocałował go w czoło, potem rzekł:

— Teraz, kochanie, uściskaj tego pana.

Dziecko grzecznie, z wdziękiem szło ku nieznajomemu, patrząc nań ciekawie.

Franciszek Tessier wstał, a wpatrując się w swego syna, upuścił kapelusz i o mało sam nie upadł.

Pan Flamel przez delikatność odwrócił się, udając, że wygląda przez okno, na ulicę.

Chłopczyna zdziwiony czekał. Podniósł kapelusz i oddał go nieznajomemu. Wtedy Franciszek, chwytając malca w objęcia, zaczął go gorączkowo okrywać pocałunkami po twarzy, oczach, policzkach, ustach, włosach.

Dzieciak, przestraszony takim gradem całusów, starał się ich uniknąć, odwracając główkę i odpychając rączynami natarczywe usta tego człowieka.

Ale Franciszek Tessier, nagle, postawił go na podłodze, zawołał:

— Bądź zdrów! bądź zdrów!

I uciekł jak złodziej.

Tłom. *Kasylda K.*

K O N I E C.

żyć mógł za wyborny skarbiec językowy; to też wszyscy późniejsi zeń czerpali. Tym sposobem *Raj* stał się, że tak powiem, kanonem czeszczyzny nowszej.

Jeżeli tedy wolno przypuszczać, że rękopisy, o których mowa, podrobiono około r. 1820, to z góry przewidywać można, iż autor ich, chcąc nie chcąc, umyślnie, czy mimowoli naśladować musiał co do języka współczesne sobie płody nowoodrodzonego piśmiennictwa czeskiego. Prócz tego, postanowiwszy śpiewać w duchu ludowym, musiał naśladować znane naówczas pieśni ludowe, co do języka — czeskie, co do treści — czeskie i inne słowiańskie.

Przeciwnicy zatem autentyczności rękopisów, chcąc dowieść swego założenia, obowiązani są wykazać szczegółowo, gdzie i w czem są one odgłosem mowy i myśli pieśni ludowych i współczesnych przekładów.

Jakoż p. Masaryk podaje tymczasem paralele do dwóch pieśni lirycznych rękopisów. Pierwowzór „Róży“ widzi w piosnce ludowej rosyjskiej, rzeczywiście wielce podobnej. „Wieniec“ zestawia z pieśnią serbską, również nader bliską w słowach i myśli.

Rozdział następny opracowany jest przez pięciu autorów; podaje on nader obszerny spis wyrazów i zwrotów wspólnych rękopisom z *Rajem straconym*, *Atalą* Chateaubrianda i kilku innymi przekładami z epoki ówczesnej. Dla braku miejsca nie mogę podać obfitszych wskazówek tych uderzających podobieństw. Mnóstwem jednostajnych wyrazów polskich, rosyjskich i nowoutworzonych czeskich, w znacznej części nieznanych skądinąd w dawnej czeszczyźnie roją się zabytki królowodworskie i przekłady z początku w. XIX! Podobne zwroty i przenośnie, też same nawet błędy w tworzeniu i używaniu wyrazów! Dużo też podobieństwa w scenach i obrazach, szczególnie wojowniczych, w opisach natury.

Wszystko to sklania autorów do wniosku, że „epoka, w której przełożono *Raj stracony*, wydać mogła i rękopisy, zgodność bowiem zasobu słów w obu utworach jest uderzającą.“

Pomijam uwagi przygodne i ogólnikowe, któremi się kończy obszerny wywód przeciwników poezyj królowodworskich; jakkolwiek są one zajmującemi i charakterystycznemi, obawiam się zbyt wiele miejsca zająć niemi w *Prawdzie*; muszę jeszcze zdać sprawę z oświadczenia jedenastu „mężów zaufania,“ zamieszczonego w jednym z ostatnich numerów dziennika *Hlas naroda*.

Pierwszy przemawia Rieger. Głos jego jako świadka naocznego niewiele ważyć może, bo autor urodził się w rok po tak zwanem *znalezieniu* rękopisów. Dowody, które przytacza, znane są z pracy apologetycznej Józefa Jireczka; nowych nie podaje. Zresztą, jak wiadomo, szanowny „przywódca narodu czeskiego“ specyalistą ani w paleografii, ani w gramatyce nie jest.

Pan Rybiczka-Skuteczsky, równie jak Rieger, pośpiesza z wystawieniem świadectwa ubóstwa duchowego dla Hanki, a stąd wyciąga śmiały wniosek, że rękopisy są prawdziwe.

Znany dziejopis czeski prof. Tomek twierdzi gołosłownie, że zarzuty paleograficzne, językowe i estetyczne, dotychczas wyrażone, żadnej nie mają wartości. Rękopisy czynią po dziś dzień na czytelnikach wielkie wrażenie. „Aż naraz przychodzi jakiś człowiek lichy, swawolnym a cynicznym sposobem stroi sobie żarty publiczne z rękopisu królowodworskiego (zważmy, iż pan T. rękopisu zielonogórskiego nie wymienia!). Jakże to niechwalebne a przykre! Zdaje mi się, że panowie, którzy tak występują, wzięli pochop do tego z jakichś chyba pobudek osobistych.“

Poseł Trojan, szanowany patryota czeski, tak się odzywa: „Wolno jest uczonym badać, ale nie powinni samych tylko wątpliwości głosić przed publicznością, ani, co gorsza, przed cudzoziemcami.“

Prof. Jan Krejczi pisze: „Nie mogę nawet wysłowić, jakim żalem, jaką zgrozą i gniewem zadrgało serce mnie i wszystkim staroczechom na widok tak lichych napaści, które ostatnimi czasy jakiś nihilizm duchowy podjął przeciwko najstarszym, świętym pamiątkom mowy i cywilizacyi czeskiej... Zatruwa się tem duch młodzieży naszej, roznosi się odgłos waśni po dziennikach niemieckich itd.“

P. Józef Jireczek, znany z licznych i niepospolitych prac w obronie rękopisów, występuje z zarzutami godnymi uwagi. Oddawszy nasamprzód hołd dobrej wierze prof. Gebauera i zapowiedziawszy nową obszerną obronę autentyczności zabytków, zarzuca przeciwnikowi niedostateczne zbadanie rękopisów morawskich, a to z powodu, że, według niego, rękopis królowodworski jest pochodzenia morawskiego. *Ceterum censet*, że Hanka nie byłby zdolnym go ułożyć, bo w urywkach, o których z pewnością wiadomo, że je podrobił, popełnił takie błędy przeciwko staroczeszczyźnie, jakich w rękopisie królowodworskim nie znajdujemy.

Prof. Hattala przyrzeka raz jeszcze pośpiech w wykończeniu dawno zapowiedzianej obszernej obrony rękopisów i sądzi, że ostatnie napaści na nie są poprostu pamfletami, których tylko żałować należy.

Prof. Emler, redaktor czasopisma *Muzeum*, kapituluje z części warowni: przyznaje, że sam żywi wiele wątpliwości o rękopisie zielonogórskim, chociaż nie ma pewności, aby był podrobionym. Rękopis zaś królowodworski poczytuje za nieulegający żadnym sporom. Szczegółowych dowodów nie przytacza.

Prof. Kalousek powtarza sto razy głoszony argument: że prócz Czelakowskiego, nikt w owej epoce nie byłby zdolnym tak świetnie ułożyć i starą czeszczyzną oddać utworów pod sporem będących.

Pan Jahn, chemik, broni prawdziwości rękopisu (którego?) z punktu chemicznego, uznając dawniejsze badanie profesora chemii Szafarzyka (syna) za dokładne.

Ostatni przemawia p. Patera, kustosz Muzeum, niepospolity znawca zabytków staroczeskich. Z punktu paleograficznego i ortograficznego nie znajduje on nic w rękopisie królowodworskim (o zielonogórskim zamilcza), coby do wątpliwości powód dać miało.

Widzimy tedy, że obrońcy rękopisów wychodzą przeważnie ze stanowiska utylitarnego i uczuciowego; że dwaj z nich zapowiadają obszerne prace obrończe; że o rękopisie zielonogórskim kilku dyplomatycznie milczy, a jeden otwarcie wątpi; że żaden nie raczy nawet wspomnieć o prof. Masaryku; że prawie wszyscy potępiają go bezimiennie; że jeden tylko otwarcie przyznaje dobrą wiarę prof. Gebauerowi.

List mój musi się zakończyć, chociaż nie zdążyłem jeszcze zdać sprawy z kwietniowego zeszytu *Athenaeum*. W następnym postaram się to wypełnić.

Jan Karłowicz.

LITERATURA ANGIELSKA.

J. Prestwich. **Geology**: Chemical, Physical and Stratigraphical. Tom pierwszy: chemia i fizyka. Oxford, 1886.

Piśmiennictwo europejskie wzbogaciło się w czasach ostatnich kilkoma znakomitemi dziełami z zakresu geologii, pomimo to jednak książka prof Prestwicha znalazła w w Anglii wielkie uznanie i wydatne zajęła stanowisko. Po krótkim wstępie, gdzie jest mowa o przedmiocie i metodach geologii, autor przystępuje do „przedstawienia czytelnikowi ogólnego zarysu przyrody i rozkładu materyałów, z którymi geolog najczęściej ma do czynienia.“ Pomija natomiast prof. P. trudne i wątpliwe zagadnienia kosmogoniczne i odkłada na koniec książki wszystkie pytania, wiążące się z „rozwojem naszego globu i geologią historyczną.“ Plan taki pozwala uczącym się przechodzić od rzeczy znanych do nieznanych i od prostych do bardziej zawiłych. Rozdziały, poświęcone chemii i mineralogii, są nieco słabsze, natomiast rzecz o wynikach wietrzenia skał ogniowych i przewrotowych zdradza wielką znajomość przedmiotu, zaś dalsze części książki: o pokładach napływowych, czynnikach atmosferycznych itp., każą domyślać się ręki mistrza. Pod względem teoretycznym — autor nie jest ani zwolennikiem *katastrofistów* (wyznawcy teoryi o gwałtownych przewrotach skorupy ziemskiej), ani też bezwzględnym rzecznikiem poglądów przeciwnych.

Drugi tom togo dzieła oczekiwany jest przez krytyków angielskich z wielką niecierpliwością.

C. O. Whitman. **Methods of Research in Microscopical Anatomy and Embryology.** (Metody poszukiwań w anatomii mikroskopowej i embryologii). Boston i Londyn. 1885.

Dr Whitman w obecnem dziele swem poddał rozbiorowi liczne metody badań, jakiemi posługiwali się lub posługują histologowie. Przyjmując jedne i potępiając inne, pragnie on dać możliwie znaczną ilość podstaw i zasad ogólnych. Pracujący nad histologią studenci znajdą w rzeczonej książce liczne wskazówki co do miejsca, czasu i sposobów otrzymywania pożądanego materyału badań.

W. Robertson Smith. **Kinship and Marriage in Early Arabia.** (Pokrewieństwo i małżeństwo w starożytnej Arabii). Cambridge, 1885.

Głównem zadaniem autora jest: przekonać czytelników, iż w Arabii starożytnej, jak i w wielu innych krajach — ustrój patryarchalny nie był wcale najpierwotniejszym wyrazem stosunków rodzinnych. Z chaosu i zupełnej gmatwaniny początkowej wyłonił się najprzód ustrój matryarchalny, w którym kobieta, nie zaś mężczyzna, była stałym i naczelnym członkiem rodziny. Taki wynik badań pozostaje w zupełnej zgodzie z tem, co inni pisarze (M. Lennan, Lubock, Bahofen, Giraud-Teulon) twierdzą o rodzinie innych ludów i plemion. Udowodnienie podobnych poglądów na Arabię jest o tyle trudniejszem, iż reformy Mahometa przyczyniły się w tym kraju znakomicie do zniszczenia wszelkich szczątków dawniejszej religii i obyczajów. Za czasów proroka Arabia posiadała już mocno ugruntowany ustrój patryarchalny, przedtem jednak było tam całkiem inaczej: dom i dzieci należały wyłącznie do matki, dziedziczenie było „macierzyste“ i po ślubie przechodził do domu żony, nie zaś przeciwnie. Jeszcze w wieku XIV kobiety z plemienia Zebia nigdy nie porzucały dla męża swojej własnej rodziny; do nich też należały dzieci. Żony z plemienia Jahilya miały prawo odprawić męża; namiot stanowił ich własność.

Ch. Fr. Holder. **Marvels of Animal Life** (Dziwy z życia zwierząt). Londyn, 1886.

Autor, bawiąc przez długi czas na wybrzeżach mórz południowych, badał skrzętnie różnorodne postacie życia morskiego, a zwłaszcza obyczaje ryb. Z książeczki jego krytyka angielska wnioskuje, iż należy on do pilnych i rozumnych bada-

czów przyrody i że potrafił zgrupować swoje i innych pisarzy spostrzeżenia w sposób mogący obudzić żywą ciekawość w czytelniku. Dziełko to wszakże, obok niezaprzeczonych przymiotów, nie jest wolnem od przesady. Czasopismo *Nature* przepowiada mu wielką popularność ze względu na ciekawy i nowy przedmiot jego opowieści.

C. L. Morgan. **The springs of conduct** (Pobudki postępowania [sprawowania się]). Londyn, 1885.

Książeczka napisana przewybornie, a dotycząca psychologii i etyki — ze stanowiska teoryi ewolucyjnej. Nie odznacza się ono zbyt wielką oryginalnością, ale materyał uporządkowanym w niej jest tak dobrze, poglądy wyrażone są tak jasno, że dziełko uważanem być może za niezmiernie ciekawy przyczynek w zakresie odnośnej gałęzi wiedzy. Znakomity przyrodnik i psycholog angielski George Romanes mówi o niem, jako też i o naukowej powadze jego autora w wyrazach bardzo pochlebnych.

A. W. Shenstone. **Practical introduction to Chemistry** (Wstęp praktyczny do chemii). Londyn, 1886.

Dziełko powyższe z zakresu chemii gorąco polecamy uwadze naszych pedagogów. Zadanie jego autora było głównie dwojakie. Naprzód pragnął on zgromadzić w niem pewną ilość takich doświadczeń, aby uczniowie początkujący, w krótkim stosunkowo czasie mogli je wykonać — samodzielnie; powtóre zaś dobór owych doświadczeń miał stanowić pewną zaokrągloną całość, którąby ułatwiła dalsze, bardziej systematyczne zgłębianie przedmiotu. Obu tym celom autor odpowiedział w sposób zadowalniający.

Agnes M. Clerke. **A popular History of Astronomy during the Ninetenth Century** (Pop. hist. astronomii w XIX w.). Edynburg, 1885.

Mamy nadzieję — powiada Robert S. Ball — iż książka ta stanie się tak popularną, jak na to zasługuje i że cieszyć się będzie szeroką poczytnością. Właściwszem byłoby powiedzieć o niej, iż jest to mistrzowski wykład najnowszych wyników tej gałęzi astronomii, którą pospolicie nazywamy astronomią fizyczną. Panna Clerke odróżnia trzy wielkie działy astronomii: *obserwacyjny, grawitacyjny i astronomię fizyczną oraz opisową.* Nazwa każdej z tych części wskazuje jej przedmiot. Szybki rozwój nauk astronomicznych w czasie ostatnim uwydatnił się głównie w trzeciej ich grupie. Książka dzieli się na dwie części. W pierwszej mówi o postępach nauki w ciągu pierwszej połowy tego stulecia, więc o pracach i odkryciach Herschel'a, Bessel'a, Struvego, o teoryach, dotyczących budowy słońca, o odkryciu mniejszych planet, o postępach w teoryi komet. Drugą część poświęcono najnowszym postępom astronomii. Pierwsze jej rozdziały traktują o właściwej fizyce astronomicznej (astrofizyka), przyczem *analiza widmowa* znajduje tu poważne uwzględnienie; dalej spotykamy wybornie napisaną rzecz o kometach; nakoniec rozdział o metodach poszukiwań — zamyka książkę. W bogatom piśmiennictwie angielskiem dzieło panny Clerke zapełnia — według zdania specyalistów — dotkliwie odczuwaną lukę; w naszej literaturze byłoby ono nadzwyczaj cennym i jodynym w swoim zakresie nabytkiem.

G. T. Brown. **Animal Life on the Farm** (Życie zwierząt domowych). Londyn, 1886.

Jest to mała książeczka, zamykająca poczet ośmiu dziełek, które obejmują sobą cały zakres rolnictwa. W szeregu tym znajduje się też praca innego uczonego o „życiu roślin uprawnych.“ Obie one, uzupełniając wskazówki praktyczne dziełek poprzedzających, dają im podstawę bardziej naukową, teoretyczną. Profesor Brown rozpatrzywszy we wstępie dwa przeciwne sobie zagadnienia życia i śmierci z punktu filozoficznego, przechodzi do opisu spraw życiowych, poczynając od procesów, odbywających się w jajku i wyjaśniając dalej, przez dwie trzecie książki, czynności i budowę tkanek, narządów itp. Ostatnia część dotyczy pewnych cech szczególnych, właściwych rozmaitym zwierzętom domowym. Książkę odznacza jasność wykładu i ścisłość. Oba wspomniane dziełka warto byłoby przyswoić naszemu piśmiennictwu.

J.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Niepożądani świadkowie. — Odnalezione ogniwo. — Kraosi. — Ludzie, czy małpy, a może małpo-ludzie. — Krzywdzenie zwierząt porównywaniem z ludźmi. — Tapety w fajczarni Makaja. — Co drażni. — Oszuści wścieklizny. — Grzeczność Pasteura. — Nasza arystokratyczna skóra. — Z dwojga złego.

W państwie birmańskiem żyło plemię, które opatrzność długo zasłaniała przed bluźnierczym wzrokiem darwinistów, a które bezbożna ciekawość wreszcie wyśledziła i ukazała Europie. Plemię to, zwane *kraosami*, posiada znamiona, odgadywane przez Darwina w zaginionych przodkach rodu ludzkiego — małpo-ludach, stanowiących brakujące ogniwa w łańcuchu biologicznym. Poczciwcy ci mają budowę ciała bardzo zbliżoną do małp, są całkowicie porośnięci włosem, nie znają ani związków społecznych, ani mieszkań, ani nawet ognia. Naturalnie żadnych gazet i książek nie czytywali wcale, zatem nie wiedzieli, że komuś bardzoby się przydali na „świadków.“ Gdy uczeni europejscy obejrzeli jedną dziewczynę z tych antropologicznych zabytków, wyznawcy Darwina orzekli, że kraosi są ludźmi zatrzymanymi w rozwoju, przeciwnicy — że przedstawiają rasę zwyrodniałą. Ta wszakże „rasa zwyrodniała“ popsuła nieco humor kapłanom tradycyi stworzenia, a nawet *Gazeta warszawska*, pisząc o niej i ciesząc się „zwycięstwem prawdy umiejętnej,“ ma kwaśną minę i widocznie wolałaby, ażeby tych włochatych potworów nie wydobywano. Nic to nie znaczy, co szan. staruszka powiada: „na podstawie dotychczasowych badań stwierdzono całkiem stanowczo, że kraosi nie są małpami, lecz ludźmi.“ Właśnie taki wniosek płynie na koło darwinizmu tem więcej, że łatwo obie strony pogodzić z korzyścią dla teoryi rozwoju, nazywając ich: małpoludźmi.

Tyle razy skrzywdzono zwierzę porównywaniem go z człowiekiem, że i ja rad jestem z tytułu ludzkiego, przyznanego kraosom. Głupiec nazywa się (rozumnym) osłem, bałwan (pracowitym) wołem, złośnik i łotr (uczciwym i wiernym) psem; wszystkiemi niecnotami człowieka obarczono zwierzę, niechże ono przynajmniej w tym wypadku będzie wolnem od cudzej niesławy. Zresztą skala ujemnych i dodatnich uzdolnień naszych jest tak rozległą, że w niej zmieści się geniusz z kretynem, bohater uczciwości z opryszkiem. Po co więc zapisywać ludzkie długi na hipotece moralności zwierzęcej, kiedy własna wystarczy? Niegodziwców mianujemy płazami; ale czy jest taki płaz, taka gadzina, taki złośliwy wąż, któryby swą jadowitością wyrównał nikczemnemu człowiekowi? Całą swą rozmaitość natura wysiliła na odmiany najwyższego gatunku swych tworów: dla scharakteryzowania więc ich niżej sięgać nie należy. Wszystkie grzechotnicze zęby są żądłami komarów wobec jednego języka oszczercy. Człowiek zarówno w złem, jak dobrem, przez żadną istotę przewyższonym nie został.

Kraosi zatem mają wszelkie prawo do godności ludzkiej, chociaż jedzą surowe ryby, mają skórę włosami obrosłą, a umysł „nieprzystępny dla wielu objawów wyższych procesów intelektualnych.“ Takich umysłów niepotrzeba szukać aż w Birmie; a trochę więcej włosów!... Alboż to nagość pod tkaną wełną jest już cywilizacyą! Ręczę, że żaden kraos nie popełnił nigdy takiego występku, jakie my nietylko popełniamy, ale podziwiamy. Gazety bez naganny, owszem, z pewną zazdrością donoszą, że słynny bogacz amerykański, Makay, urządził sobie zbytkowną fajczarnię, w której ściany tapetowane są bankńotami różnych krajów. Na obicie spotrzebował za 100 kilkadziesiąt tysięcy dolarów tego „papieru“ — wtedy, kiedy jego ojczyzna była polem zaciekłych starć ubogiej pracy z rozpustnym kapitałem. Czy można zuchwalej obrazić i wyzwać do walki głodne instynkty mas? Rozmaitemi przyczynami usiłowano wytłomaczyć rozruchy amerykańskie i niewątpliwie zasiewał je los różnorodnem ziarnem; ale tam i wszędzie nie należy zapominać o takich podrażnieniach. Niejednemu z biedaków krew zawre, gdy nie mając chleba, widzi, że Makaje, zbogaceni trudem cudzym, tapetują sobie fajczarnie banknotami. Tego nie zrobiłby z pewnością kraos.

Ani wielu innych sławnych czynów naszej cywilizacyi i to może właśnie dlatego, że bliżej stoi zwierzęcia. Pies, wilk, koń, pokąsany zaraźliwie, wścieka się, ale ani mu na myśl nie przyjdzie udawać wścieklizny. Tymczasem zaledwie Pasteur rozpoczął szczepienia, a już uwijają się oszuści, którzy wynaleźli sobie w tej sprawie interes. Pisma nasze zaznaczyły już kilka wypadków podstępu, mianowicie „rycerze przemysłu,“ zraniwszy się dobrowolnie, usiłują wyłudzić zapomogi na podróż do Pasteura. Już nie kraos, ale czy takiego paskudztwa dopuści się lis, wilk, kuna, szakal, kot? Jest to sztuka czysto ludzka. Na nieszczęście oka sieci moralnej i prawnej są tak wiązane, że tego rodzaju ryby zawsze się przez nie przemykają. Bezwładna czy ubezwładniona sprawiedliwość słyszy tylko ich plusk w błotach życia, ale rzadko łowi te miętusy (przepraszam miętusa za to porównanie). Ścigane umieją schować się w nory, złapane — wyśliznąć się z palców. I cokolwiek umysł ludzki wspaniałego stworzy lub wynajdzie, na wszystko pada ta gryząca rdza występku, która nie oszczędza ani genialnego dzieła, ani wielkiej boleści.

Do znakomitego badacza francuskiego ciągną ze wszech stron pokaleczeni. Spieszą też i lekarze: jedni uczą się u mistrza, a drudzy odwiedzają go i po powrocie do kraju wypisują mu w *Kuryerach* świadectwa grzeczności. Nic to nie szkodzi, że Pasteur jest grzecznym i przystępnym, ażeby to jednak miała być jego zaleta, godna publicznego hołdu — nie sądzę. My wogóle, jako „francuzi północy“ i jako ludzie, łatający chętnie inne braki „dobrem wychowaniem,“ kładziemy wielką wagę na elegancyę obejścia. Mamy znakomitości słynne tylko „przyzwoitością.“ W społeczeństwie arystokratycznem, jakiem dotąd jest nasze, etykieta musi być cnotą niezbędną, przed którą szczerość rubaszna zawsze wygląda poślednio. Z dwu ostateczności zawsze przeniesiemy grzecznego głuptasa nad rozumnego prostaka. Nic bardziej w Geothem nie raziło gości polskich, jak bezbożność i szorstkie obejście. Dobrych „manier“ wymagamy nawet od Goethego, nawet od Pasteura, a nie przebaczymy nigdy amerykanom tego, że witając się, nie

uchylają kapeluszów i w kawiarniach zakładają nogi na stół. Chociaż polak zdemokratyzuje się wewnątrz, zwykle arystokratycznej skóry nie zrzuca. Wystrojonemu i niezdejmującemu rękawiczek Lassalowi „przebacza," gotów nawet przyznać mu dużo słuszności, ale brutalny Marx jest dla niego tylko chamem. Musset — to poeta, ale Heine — to łobuz. Sam Shakespeare — boski Shakespeare mógłby być dla nas przyzwoitszym. My nie „ulica," my „salon" — zawsze i wszędzie. Cóż dziwnego, że Pasteur podobał nam się również, jako człowiek grzeczny? W oświetleniu dobrego tonu piękniej się przedstawia jego strzykawka z jadem wścieklizny.

Słyszałem również pochwały, że Józio Hofman jest chłopczykiem grzecznym, a wielu osobom podobał on się głównie z tej strony. Bo to w dziewiątym roku życia ślicznie gra, komponuje, rozwija bez namysłu trudne tematy, a przytem bardzo dobrze wychowany. Na jego wychowanie chciałbym właśnie zwrócić uwagę. Nie idzie mi wszakże o to, ażeby się zręcznie kłaniał i w porę uśmiechał, ale o to, ażeby wyrósł na znakomitego muzyka. Trudno doprawdy publiczny morał wtykać w tak ścisły stosunek, jak ojca do syna — ojca, który świetnym rezultatem złożył dowód, że go kształcił umiejętnie. Szanując wszakże nietykalność praw rodzicielskich, pozwolę sobie tylko nadmienić ogólnie, że wychowawca ma tu do rozwiązania zadanie bardzo trudne. Utrzymać taki delikatny, wyjątkowo wrażliwy organizm w prawidłowym rozwoju, nie nadwyrężyć go, nie złamać, nie popsuć — to przedsięwzięcie, wymagające nadzwyczajnej troski i umiejętności. Częste zawody stwierdziły, że t. zw. „cudowne dzieci," postępując z początku szybko, nagle ustają i przez resztę życia pozostają bardzo zwykłymi ludźmi. Ponieważ jednak niektóre (jak np. Mozart, Chopin i in.), objawiwszy wcześnie genialne zdolności, zachowują je i później, kwestya wychowania nabiera tu szczególnej wagi. Jakich środków używać trzeba — na to ogólnej recepty nie ma, gdyż sposoby muszą być zastosowane do szczególnych własności organizmu. Ale w każdym wypadku zdaje się być słuszną zasada, ażeby nie pędzić zbyt mocno młodych latorośli. A takiem pędzeniem jest za wczesne i za częste wprowadzanie małych muzyków na estrady koncertowe. Józio Hoffman występował już dwukrotnie, podobno ma występować częściej — ostrożnie! Strun arfy eolskiej szarpać nie należy. Tem piękniej ona zagra, gdy te struny się wzmocnią i nie popękają.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Pożary. — Abdykacya szlachecka i jej możliwe skutki. — Wychodźtwo żydów. — Współzawodnictwo. — Zmienność Temidy. — Jeszcze o czynszownikach. — Szkodliwy komizm.

Z każdą wiosną ukazują się na widnokręgu łuny pożarów. Tylokrotnie pisaliśmy już o tem, że w bieżącym roku chciałem odstąpić od zwyczaju i nie wspominać o spalonych wsiach i miastach. Ale pożary przybrały takie groźne rozmiary, niezaradność objawiła się w takich, nam tylko chyba właściwych formach, że należy chociaż krótką wzmiankę poświęcić sezonowej klęsce. W gubernii lubelskiej, w ostatnich dniach kwietnia, zaznaczono 12 większych pożarów, w ciągu maja spłonęło tam kilka miasteczek, największe szkody zrządził ogień w Kurowie, którego mieszkańcy z filozoficznym spokojem przypatrywali się widowisku i niechcieli pomagać obcym w ratunku. Korespondent *Gazety lubelskiej* twierdzi, że pożar zaczął się od piekarni i popiera przykładami z kilku ostatnich lat, że w znacznej części wypadków przyczyną pożaru było właśnie wadliwe urządzenie pieców piekarnianych. Istnieją w tym względzie pewne przepisy, ale nikt niedba o ich wykonanie. W Łodzi znowu straż ogniowa walczyć musi z właścicielami fabryk o wodę, której panowie ci ze studni swych czerpać nie dają, koni do wożenia beczek dostać nie można, beczki zaś, pochodzące „z najpierwszej fabryki krajowej," tak są urządzone, że podczas jazdy kran otwiera się i woda wycieka. Pomimo tego straż łódzka spisała się lepiej, niż warszawska w ostatnim pożarze przy ulicy Freta, w podobnym bowiem zupełnie wypadku ocalono wszystkich ludzi, dlatego jedynie, że pomoc przybyła bardzo szybko, przyrządy zaś ratunkowe znajdowały się w porządku.

Jedno z pism, które nawet z łez ludzkich potrafi wyciągnąć pierwiastek humorystyczny, straszne, ale zarazem zabawne rzeczy opowiada o pożarze w Radzanowie. Mniejsza o to, że „zielone wierzby płonęły jak zapałki," że „najsmutniejszym był widok ślepych i starców, wyprowadzanych przez dzieci z palącej się ulicy" — zwykłe to efekty melodramatyczne, które wszakże, w części przynajmniej, mogą być prawdziwymi. Ale pomysłowy korespondent nie poprzestaje na tem i wymyśla oryginalną scenę. Przez środek miasta płynie rzeka Działdówka, kłęby czarnego dymu unoszą się nad nią jak opary, „krzyk, rozpacz i lament bezmierne," „okropności niepodobna opisać" a tymczasem na spokojnych falach rzeczki płynęła kołyska z dzieckiem, które pomysłowi rodzice w ten sposób ocalić zdołali. Nie poruszałbym tego drobnego kłamstwa, gdy nie wzgląd, że takie właśnie przesadzone opisy osłabiają wiarę w prawdziwość doniesień i studzą ofiarność publiczną, której dla tegorocznych pogorzelców tak bardzo potrzeba.

W maju odbyły się wybory radców Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Zdawałoby się, że w dzisiejszych ciężkich dla rolnictwa, zwłaszcza zaś dla własności większej, czasach wybory powinny zainteresować ogół ziemiański, tem więcej, że Towarzystwo kredytowe nie zawsze odpowiada wymaganiom stowarzyszonych i coraz częściej wywołuje skargi lub porównania z poprzednią działalnością tej instytucyi. Stowarzyszeni przez odpowiedni wybór swych pełnomocników w znacznej mierze wpływać mogą na dokonanie pożądanych zmian lub usunięcie istniejących wadliwości, mają oni prawo również wyrażać swoje życzenia, z któremi władze Towarzystwa liczyćby się musiały, gdyby widziały energię w postanowieniu wyborców. Tymczasem udział szlachty w wyborach był bardzo nieliczny, skąd żydkowie wywnioskowali nawet, że niektórym obywatelom widocznie „już i głosy zajęto," na urzędy zaś powołano przeważnie poprzednich radców, tj. tych, z których działalności ogół szlachecki nie był zadowolonym, lub też, jeżeli wprowadzono nowych, to jedynie ze względów osobistych i najczęściej takich, których ani głowa do rady, ani..." Ponieważ Towarzystwo kredytowe ziemskie nie figuruje w naszym symbolu wiary obywatelskiej, wyborowi radców nie nadajemy wielkiego znaczenia, notujemy tylko objawy obojętności ziemiańskiej. Jeżeli jakaś warstwa społeczna nie chce, czy nie umie bronić nawet swych najżywotniejszych, klasowych interesów, świadczy to, że dni jej są policzone i że dobrowolnie podpisuje abdykacyę z dotychczasowego stanowiska.

Objawów takiego zwątpienia znaleźć można więcej. *Gazeta radomska* zamieszcza artykuł o emigracyi obywateli ziemskich do miasta. Dzisiejszy rolnik byleby mógł sprzedać majątek, chętnie tam spieszy. Autor przeciwny jest temu zbiegostwu z posterunków, zwłaszcza że napływ wieśniaków do miast zwiększa współzawodnictwo w ograniczonej liczbie zawodów, do których ma dostęp nasza inteligencya. Nie przeczymy temu, ale widząc w tej sprawie nieunikniony proces dziejowy, inaczej oceniamy jej doniosłość. Od wielu lat już szlachta miała tylko znaczenie stanu ziemiańskiego, dziś dobrowolnie lub przymuszona siłą okoliczności opuszcza i to stanowisko. Przykry niejednokrotnie przebieg tego procesu, wszystkie ujemne jego strony wynagradza sowicie ten jeden wzgląd, że przyspiesza on urzeczywistnienie zasady: „ziemia powinna należyć do tych, którzy ją uprawiają." Idzie więc tylko o to, żeby ziemia dostała się w właściwe ręce, żeby nie zagarnęły jej żywioły obce lub stokroć więcej, niż teraźniejsi posiadacze, szkodliwe dla ludu. Nie maczego obawiać się nadmiaru inteligencyi w miastach, wróci ona kiedyś na wieś, tylko już w charakterze inteligencyi pracy, której nigdy zadużo być nie może. Dla miast zaś ta emigracya szlachecka przyniesie korzystne rezultaty. Pomimo wielu wad swoich szlachta polska posiada również niezaprzeczone zalety obyczaju i charakteru. W porównaniu z wyrodzoną, zaprzątniętą wyłącznie materyalnemi potrzebami i uciechami ludnością mieszczańską, w porównaniu z tem powszedniem filisterstwem, która zatapia naszą umysłowość, ród szlachecki posiada większą lotność i samodzielność umysłu (w dzisiejszych warunkach często przejawiającą się w dziwactwie, ale która odpowiednio wychowana rokuje pomyślne plony), wysoko rozwiniętą wrażliwość na sprawy publiczne, pewną tradycyę służby obywatelskiej, wreszcie uszczuplony nieco, ale spory jeszcze zasób moralnego i fizycznego zdrowia. Jakkolwiek od lat dwudziestu emigracya szlachecka istnieje, o znaczeniu jej sądzić nie można z dotychczasowych rezultatów, gdyż fala wypadków wyrzucała na bruk najsłabszych rozbitków, silniejsi walczyli jeszcze z prądem i powoli teraz dopiero ustępować mu zaczynają.

Inaczej odbywa się wychodźtwo żydowskie, o którem poprzednio już pisaliśmy. Korespondenci świadczą, że emigrują wyłącznie prawie rzemieślnicy, to jest najlepsza moralnie i najużyteczniejsza społecznie część ludności żydowskiej. P. A. Jelski obawia się nawet, że wkrótce pozostaną tylko oszuści, złoczyńcy i handlarze. Kto wie, czy nie jest to także nieunikniony proces dziejowy, który w skutkach swych będzie miał tę przynajmniej dobrą stronę, że uprości zawikłaną dzisiaj kwestyę żydowską. Oszuści i złodzieje wespół z towarzyszami swymi innych wyznań zaludnią prędzej czy później oddalone miejscowości Syberyi, handlarze zaś wejdą całą masą do mieszczaństwa i ostatecznie kwestya żydowska stanie się poprostu kwestyą społeczną. W Niemczech dziś już coś podobnego istnieje, żydzi tam wyłącznie prawie należą do klasy mieszczańskiej, dlatego też antysemityzm w znacznej części nosi charakter anty-kapitalistyczny. Ale zanim takie wysortowanie izraelitów nastąpi, tymczasem we własnem ich łonie wre zacięta walka o byt, nie przebierająca w środkach, walka, którą zwykle u nas uważają jako wynik współzawodnictwa żydów z chrześcianami. Oto np. z Lipska piszą do *Gazety radomskiej*, że w miasteczku tem żydzi zajmują się głównie przewozem zboża i towarów. Jeden z takich furmanów zebrał pewien kapitalik i kupił sobie 4 konie, w ten sposób stał się on niebezpiecznym konkurentem dla kolegów, którzy też postanowili usunąć współzawodnika i otruli mu wszystkie konie. Podobny wypadek zdarzył się w Białobrzegach i w kilku innych miejscowościach.

Straszniejszą jeszcze jest druga historya współzawodnictwa, której widownią był również Lipsk. Młody izraelita, krawiec „z Warszawy,“ odebrał zupełnie klientelę swym starszym współwyznawcom. Głodni partacze ukarali go strasznie, oblali mu bowiem twarz kwasem siarczanym. Korespondent dodaje, że podobny wypadek zdarzył się także w Iłży.

W swoim czasie donosiliśmy o znęcaniu się pewnego obywatela w Płocku nad małoletnią dziewczyną, oskarżoną niesłusznie o kradzież. Patentowani obrońcy naszej niewinności obyczajowej wystąpili wówczas z zarzutem, że zwykły fakt „karności domowej“ wydęto do rozmiarów występku. Teraz jednak sprawa ta sądzoną była publicznie i śledztwo wykazało, że aptekarz, W. Lohman, żona jego, brat i służący—trzynastoletnią służącą, podejrzaną o kradzież pierścionka, zmuszali do przyznania się: strasząc rewolwerem, bijąc rózgą, spuszczając na lince do dołu ustępowego. Okrutnicy nie poprzestali na tem; kiedy, pomimo udręczeń, dziewczyna przyznać się nie chciała, zamknięto ją w pustej i ciemnej komórce, w której na ścianie wyrysowano fosforem dyabła. Sąd dosyć łagodnie obszedł się z winowajcami, skazał ich bowiem na areszt, lub kilka miesięcy więzienia.

Surowszą jest Temida w Kaliszu; tam pisarza gminnego, który włościankę, skazaną na 4 dni aresztu, za skromne wynagrodzenie przeniósł z kozy do swojej kuchni, ukarano 8 miesiącami rot aresztanckich.

Pragnąłbym pomówić nieco o sprawie czynszowników. Dwaj nasi ziomkowie przemówili o czynszownikach w języku rosyjskim... P. St. Dybowski z Kijowa, po polsku i po rosyjsku broni odważnie sprawy...

Referat, o którym wspominaliśmy, ujawnia rzeczniezmiernie ważną—liczbę czynszowników. W 8 miastach i 322 miasteczkach, będących własnością prywatną w guberniach południowo-zachodnich mieszkało 240,000 czynszowników, po wsiach zaś 267,000. Połowa tej ludności jest pochodzenia polskiego. Czynszownicy posiadają zaledwie 207,000 dziesięcin ziemi, t. j. 3% własności większej w kraju. Dodać tu trzeba, że stanowią połowę prawie ludności polskiej na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Cyfry powyższe nadają sprawie czynszowniczej właściwy charakter.

Kaliszanin, który stoi na wysuniętym przeciw niemcom posterunku, pełni służbę swoją tak gorliwie, że aż czasem wpada w śmieszność. Po patetycznym wstępie o prześladowaniach niemieckich, redakcya pisma nasroża lice i grożnie woła: precz więc... — Z czem? Nie zgadniesz czytelniku! Precz więc... z loteryą saską! Kilka takich wybryków mądrości politycznej ośmieszyć może i zabić najświętszą sprawę.

J. Nieborski.

WYKSZTAŁCENIE FACHOWE I OGÓLNO-LUDZKIE*).

Dwa te pojęcia w naszem społeczeństwie często bywają zamieniane, fałszywie objaśniane i rzadko z należytem zrozumieniem uwzględniane. Powszechnie prawie można słyszeć głoszone zdanie: lekarz, adwokat, inżenier i t. p., więc człowiek wykształcony — i naodwrót — obok pojęcia: szewc, ślusarz i t. p. przedstawiamy sobie ludzi surowych, bez żadnego wykształcenia.

Przeciętna u nas jednostka nie odróżnia fachowego zajęcia, dającego możność zarobkowania, od ogólnego wykształcenia, czyniącego z zarobkującej maszyny, mniej lub więcej ogładzonej, prawdziwego człowieka i rozumnego obywatela kraju.

Ludziom nie może się pomieścić w głowie, że ktoś otrzymawszy wykształcenie średnie, jak u nas — gimnazyalne, następnie nie ukończywszy jakiś wydział w uniwersytecie, jeszcze wcale nie ma prawa do nazwy człowieka wykształconego. Lekarz więc, adwokat, inżenier mogą być dobrymi fachowcami i mimo to nie posiadać ogólnego rozwinięcia umysłowego, jak z drugiej strony wielu ludzi fachowych, których zajęcie związane jest w pojęciu naszem z brakiem takiego rozwinięcia, wprawia nas w podziw obszernością swej wiedzy. Pożycie z ludźmi i codzienna obserwacya ich dokładnie ilustrują nam wyżej zacytowane fakty.

Jedni z tak zwanych „wykształconych“ pomijają: filozofię, historyozofię, socyologię, logikę, etykę, psychologię, pedagogikę itd.; inni uważają za zbyteczne poznać nauki przyrodnicze, anatomię, fizyologię, hygienę. Wobec tego, czy można pomyśleć, aby niedostatki w tym lub owym kierunku nie zniżały poziomu ogólno-ludzkiego wykształcenia, lub nie zacieśniały go do jednostronności. Czy dla kogoś bez zupełnej znajomości anatomii i fizyologii możliwe jest dokładne poznanie nowszej filozofii, również jak pominięcie humanitarnych nauk czy nie przemienia lekarza, inżeniera itp. w wyższego rzemieślnika?

Zdaje mi się, że istniejące u nas obozy konserwatystów i postępowców warunkują się poniekąd pomijaniem przez pierwszych pewnych umiejętności, wymagających dokładnych i szkolnych studyów. Łatwo to w dziedzinie filozofii nazwać się idealistą, studya nad anatomią i fizyologią lekko nikomu nie przychodzą. Jeszcze dogodniej ograniczyć się filozofią i etyką, poczerpniętą z religii, wszak na to prawie żadnych wiadomości naukowych nie potrzeba. Wspomniane braki wytwarzają całe szeregi ludzi jednostronnie uzdolnionych, zarazem jednak w przekonaniach swych czy to religijnych, czy etycznych itd. dziecinnie naiwnych i niewinnych. Racyonalnego poglądu na życie ludzkie i to wszystko, co znajduje się z niem w związku, może nam dostarczyć jedynie wiedza ogólno-ludzka.

Ludzie fachowi odpowiedzą na to wszystko, że zawody pochłaniają im cały czas, że specyalizowanie zajęć w każdem społeczeństwie jest konieczne, że ograniczanie całej wiedzy czyni z nas dyletantów, rozprasza siły itd. Te i tym podobne zarzuty mają tylko za sobą pozory słuszności, służąc nieraz za prostą wymówkę nieuctwu. Wyłączne zajmowanie się jakiemś zajęciem usposabia nas do jednostronnego zapatrywania się na życie i jego zjawiska, obniża naszą inteligencyę, zamienia nas na manekiny, które, nakręcone odpowiednim bodźcem zarobku, funkcyonują mniejszą lub większą ilość godzin, pozbawia nas poniekąd możności odgrywania czynnej i pożytecznej roli w społeczeństwie, którego jesteśmy członkami, nakoniec niweczy wpływ jednostki oświeconej na jej otoczenie bliższe i dalsze.

Prawda, że jednostka, uprawiająca pewną niwę, może przynieść dużą korzyść, że wobec coraz szybszego postępu nauk i rzemiosł, trzeba nieraz całe życie poświęcić drobnym ich cząstkom, że suma prac specyalnych wzbogaca w danym kierunku ogólną wiedzę; ale znów z drugiej strony—czy można sobie wyobrazić zdrowym i normalnym rozwój społeczeństwa, którego osobniki ograniczają się tylko do pewnych specyalności? Ciekawa rzecz, w jakim stanie znajdowałaby się literatura i sztuki piękne u takiego narodu, jakieby były jego pojęcia filozoficzne i etyczne? Dalej w krajach politycznie samodzielnych, czy można przypuścić, aby fachowo tylko uzdolnione jednostki przyjmowały racyonalny i pożyteczny udział w jego życiu?

Wszak oprócz pracy zawodowej, stwarzamy rodzinę, zaciągamy poważne i trudne obowiązki w wychowywaniu dzieci, stykając się ciągle z ludzmi dodatnio lub ujemnie oddziaływamy na nich. Nakoniec społeczeństwo zdrowe, pragnące żyć, winno także uczestniczyć w ogólno-ludzkich, wyższych zagadnieniach.

Najmozolniejsze nawet zajęcie specyalne nie pochłania tak dalece czasu, aby przy dobrej woli nie można było go sobie oszczędzić dla pracy umysłowej po za granicami zawodu.

Porachujmy tylko, wiele godzin zabierają u nas karty, które nas moralnie i umysłowo przytępiają? Kto raz zakosztował rozkoszy w ogólno-ludzkiej wiedzy, dla tego nawet po całodziennych trudach odpowiednia książka będzie odpoczynkiem i rozrywką. Że wiedza taka rozwija nasze zdolności umysłowe, a tem samem dodatnio wpływa na zajęcia specyalne, o tem zapewnie nikt nie będzie powątpiewał. Nie rozumiem nawet jak można być dobrym fachowcem, nie będąc człowiekiem ogólnie-wykształconym.

Jeżeli u nas dzieje się inaczej, to przyczynę złego mniej upatruję w naszem wrodzonem lenistwie, aniżeli w ułomnościach, przygotowawczego wykształcenia średniego.

Wstąpiwszy do uniwersytetu z bardzo małym zasobem naukowym, nie pracujemy nad sobą, po za specyalnością oddalamy się coraz bardziej od wyników ogólnej wiedzy, a po utrzymaniu dyplomu stajemy się tylko wyższymi rzemieślnikami.

Nie licząc w tym względzie nic na szkoły, winniśmy się postarać o rozumowany katalog dla samouków, jako też o odpowiednie podręczniki.

Bez przesady kazałbym wypisać złotemi literami na każdym przybytku wiedzy słowa wypowiedziane przez *Prawdę:* zanim zostaniesz adwokatem, lekarzem itd., staraj się, abyś przedewszystkiem został człowiekiem.

Dr. W. Ołtuszewski.

*) Artykuł ten, chociaż nie wyczerpuje kwestyi, daje wszakże czytelnikowi poważny temat do rozmyślań. *Red.*

CUDZE GŁOSY.

Ananas pismo humorystyczne, wychodzące w Krakowie dowcipnie szydzi z tchórzostwa szlachty galicyjskiej, podczas ostatnich zaburzeń chłopskich.

Gorlice, 10 kwietnia.

„Powiadam wam strach! Wczoraj widziałem na własne oczy w karczmie dwóch chłopów, z których jeden, jak mnie zoczył, mruknął: hm! a drugi pokręcił z arogancyą wąsa i zawołał:

— Żydzie! śnapsa, tylko mocnego, bo trza iść do roboty!

„Trza iść do roboty,“ ile w tych słowach mieści się zuchwalstwa i krwiożerczych popędów. Okno było otwarte, skoczyłem przez nie na pole i posłyszałem tylko słowa: a to ci ciarach posuwisty!

Z rozpaczą w sercu powróciłem do domu. Przechodząc koło stodoły, słyszałem jak fornal Kuba, mówił do gumiennego Maćka: będziewa rżnąć.

Posłałem po żandarma. Ten wziął Kubę na indagacyę.

— Mówiłeś, że będziecie rżnąć? — spytał się Kuby.

— A juści, mówiłem — odrzekł z bezczelną otwartością — bo dla gadziny sieczki zbrakło, to trza rżnąć popołudniu.

Co za lisie wykręty, jaka dojrzałość zbrodni. Na wszystko mają gotową odpowiedź. Mistrzowska ręka widocznie przygotowuje dzieło zniszczenia.

Najbliższy mój sąsiad, S. posłał pokojówkę Magdę za jakimś interesem do pobliskiego kowala, chłopa śmiałego i przystojnego. Dziewczyna, zamiast natychmiast wracać, bawiła blisko godzinę i wróciła w stanie pewnego rozgorączkowania. Na wszelkie zapytania, co jej jest, czy ją co przeraziło, czy co widziała, podawała tylko wymijające odpowiedzi, nie śmiejąc oczu podnieść do góry. Widocznie obawiała się zemsty za zdradzenie przypadkowo podsłuchanych planów. Dziś, bez danego jej polecenia, znów udała się do kuźni. Pan S. obawia się, że wciągnięto ją do spisku, w celu obeznania się z rozkładem mieszkania.

Ta wiązka faktów, powinna wam wystarczyć do zrozumienia sytuacyi. Starajcie się na gwałt o przysłanie do nas wojska. Ja, do moich dwóch wiosek będę potrzebował trzech kompanij piechoty, dwóch szwadronów kawaleryi, i, co najmniej, czterech armat. Inaczej za nic nie ręczę."

PRASA ROSYJSKA.

Ruskij Kurjer pomieszcza obszerny artykuł o polityce polaków w Prusach, zawierający wiele trafnych uwag.

„W ciągu ostatnich lat dwudziestu polacy pruscy z najprzykładniejszą wiernością, często z własnym uszczerbkiem, podtrzymali katolicyzm w walce z Bismarkiem, tak na wyborach jak w izbach i w prasie. Wierni synowie kościoła katolickiego, poczytywali polacy za przyjaciół swych i opiekunów tych, co z kościołem trzymali a utożsamiając interesy narodowe z kościelnymi, w dążeniach stronnictwa kościelno politycznego upatrywali rękojmię dla własnej sprawy i wszędzie i zawsze stronnictwo to popierali.

Nęciła jeszcze ich ta okoliczność, że deputowani ultramontańscy zawsze brali do serca interesy pruskich polaków, że bronili gorliwie ich praw językowych itd. I stało się, że patryoci polscy, dziennikarze i duchowni cierpieli za sprawy ultramontańskie, posyłano ich do więzienia i na wygnanie dla sprawy, którą poczytywali za świętą. Politykę narodową złożyli na ołtarzu kościelnej i byli, doprawdy, najpierw i bardziej ultramontanami niż polakami.

Obok tego, czy to w Niemczech, czy w Austryi, polacy skutkiem owego prądu zapominali często, że naród polski położył ogromne zasługi dla ludzkości na polu nauki i poezyi i szli ręka w rękę z czarną reakcyą, popierając ją w walce z postępowemi ideami wieku. Nic dziwnego też, że w kołach postępowych uważają polaków za fundament roboty ćmy reakcyjnej.

Rząd pruski więc w osobie Bismarka i Puttkamera bez trudności wystawił polaków za narzędzie ultramontańskie i zapewnił powodzenie swoim anti-polskim projektom. Nieomylił się w rachubie, bo nikt nie umiał, nie mógł dowieść, że jest inaczej.

Ale omylili się w swoich rachubach polacy. Omylili się straszliwie!

Podniósłszy przeciw sobie postępowe żywioły Prus, podniósłszy i całą pozostałą Słowiańszczyznę, przekonali się polacy, że odepchnęli od siebie dawnych braci i przyjaciół, ale—nie zdobyli nowych. Ten sam rząd pruski, którego reakcyjne projekty tak często popierali, ten sam rząd, za którego wielkość i potęgę w r. 1870 i 1871 krew swoją przelewali, ten sam rząd wystąpił dziś z prawem o wykorzenieniu polskości w obrębie państwa. Papiestwo i stronnictwo ultramontańskie, na których przyjaźń tak liczyli polacy, dziś patrzą obojętnie na to nowe zabójstwo narodowości polskiej. Prawda, że pp. Windhorst, Schorlemer-Alst i inni powstawali w izbach przeciw tym prawom, ale my nie możemy nie uważać tego wszystkiego za komedyę, za farsę. Papiestwo zaś ani jednem słowem za polakami się nie ujęło.

Papież, gromiący świetnie redagowanemi encyklikami wszelkie przejawy liberalizmu i demokracyi, protestujący i powtarzający się w protestacyach przeciw rzeczywistym tendencyom państwa i społeczeństwa wobec klerykalnych pretensyj; papież, wdający się w układy z nawpół dzikimi władcami dla garstki misyonarzów; on, na którego polacy patrzyli jako na jedynego obrońcę— nie zwraca dziś żadnej uwagi na barbarzyńskie prześladowanie swych najwierniejszych owieczek i intrygując stale przeciw pokrewnej polakom Rosyi, daje — rzecz bezprzykładna w dziejach!—najwyższy swój order protestantowi Bismarkowi, i za nieznaczne, w gruncie rzeczy, formalne ustępstwo w prawodawstwie kościelnem Niemiec, z „taktem i rozsądkiem politycznym" ignoruje śmiertelne ciosy, jakimi godzi świeżo upieczony kawaler orderu Chrystusa w mężnych, dzielnych katolików polskich!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wyzwalanie się nasze bądź ekonomiczne, bądź moralne od zagranicy, chociaż dotąd nie osiągnęło pożądanej miary, postępuje jednak, a w ostatnich edyktach pruskich znalazło silną dla siebie pobudkę. Jeżeli ten ruch ku samodzielności nie osłabnie, może on nam przynieść bardzo cenne korzyści w najrozmaitszych kierunkach. Zaznaczamy objaw nowy. Pod francuskimi tytułami (bo to lepiej nęci) niemcy otworzyli pracownie, w których malują portrety z fotogramów. Agenci tych przedsiębiorstw zapuścili naturalnie sieci w nasz kraj i wyłowili już z niego dużo obstalunków oraz pieniędzy. Niekażdy ma środki do zamówienia portretu u malarza pierwszorzędnego, wielu zaś pragnie posiadać wizerunki drogich osób zmarłych; ów więc przemysł artystyczny spotkał się z szerokiem zapotrzebowaniem. Usługi wszakże zagraniczne nietylko wyciągały od nas pieniądze, ale zwykle nie odpowiadały oczekiwaniom. Ośmielony i zachęcony tem p. Heyman, malarz, otworzył w Warszawie pracownię portretów z fotografij, wykonywanych artystycznie i tanio. Próby, wystawione w warszawskiem Towarzystwie zachęty szt. pięknych (np. portrety dzieci, p. Lüde itd.) zjednały sobie uznanie. Prawie wszystkie dzienniki dały artyście chlubne świadectwo, na którem i my podpisalibyśmy się wcześniej, gdyby p. H. wybrawszy do pierwszych prac swoich fotografię redaktora *Prawdy*, nie spowodował, że w rzędzie zabierających głos o jego działalności mogliśmy zająć tylko miejsce ostatnie.

Proces. Sędzia pokoju XIX rewiru miasta Warszawy rozpatrywał sprawę p J. Popławskiego, oskarżonego o zelżenie czynne p. W. Wścieklicy. Po przemówieniu pełnomocnika powoda, adwokata Cięglińskiego, oskarżony oświadczył, że do czynu, który w zasadzie potępia, zmuszony był postępowaniem p. Wścieklicy, drukującego obelżywe zarzuty. Po wyjaśnieniu za pomocą badania świadków okoliczności, że p. Wścieklica sam przywołał policyę, p. Popławski prosił o odroczenie sprawy dla przedstawienia nr-ów *Kłosów*, w których pomieszczone były obrażające go artykuły. Sędzia jednak żądania tego, nie uwzględnił, zaproponował tylko polubowne zakończenie sprawy, kiedy zaś p. Popławski oświadczył, że nie życzy sobie zgody, wydał wyrok skazujący p. P. na miesiąc aresztu. Skarżący zrzekł się żądania wymiaru kary, p. Popławski atoli skorzystać z tego nie chciał i podyktował niezadowolenie z wyroku, mające służyć do apelacyi.

Rozporządzenie. Ze względu na prace komisyi, obradującej nad sprawą wyższego wykształcenia kobiet, ministeryum oświecenia uznało za właściwe wydać rozporządzenie, ażeby w r. b. nie przyjmowano kandydatek do istniejących t. z. wyższych kursów żeńskich.

Mądry polak po szkodzie. Z powodu katastrofy na ulicy Freta przedsięwzięto rewizyę składów nafty i benzyny. Właściciele składów obowiązani są zaprowadzić wskazane przez komisyę środki ostrożności.

Sprostowanie. Zamieszczona w pismach brukowych wiadomość o nieprzyjmowaniu przez kasy rządowe banknotów z uszkodzoną datą, okazała się zwyczajnym wymysłem reporterskim.

Wystawa inwentarza na placu Ujazdowskim otwartą zostanie d. 12 czerwca.

Smutny los. Nierozsprzedane w znacznej ilości egzemplarze *Mapy poglądowej Królestwa* p. J. Wójcickiej kupili na licytacyi handlarze po bardzo niskiej cenie.

Jezuici wracają z tryumfem do Niemiec, otrzymują oni na własność 10 klasztorów i subsydya na przejazd.

Bibliografia. J. W. Dawid: *O zarazie moralnej*, studyum psychologiczno-społeczne. Warszawa.

Spuścizna literacka po Bohdanie Zaleskim wkrótce będzie wydana. Obejmuje ona dwa większe utwory: *Potrzeba zbaraska* i *Złota duma*, niedokończony poemat *Gopło* i kilka drobnych wierszy.

Odkrycie. Nieznane dotąd części historyi Sallustiusa znalazł dr E. Hauler w bibliotece paryskiej.

Konkursy. Redakcya *Świtu* ogłasza aż 4 konkursy na fejleton — termin nadsyłania już minął, nagroda 25 rs.; nowela — do 1 września, nagroda 50 rs.; powieść jednotomową — do 1 października, 150 rs. i rozprawę: „jak najlepiej spożytkować przemysł wiejski kobiecy?" — 60 rs. Jak widzimy, p. Lewental urządził sobie zabawkę najoszczędniej...

Teatr rosyjski. Trupa aktorów Cesarskiego teatru w Moskwie daje w Teatrze wielkim szereg przedstawień w języku rosyjskim. Dotychczas wystawiono obraz dramatyczny: *Staroświecczyzna Kaszyrska* Awerkiewa, komedye Ostrowskiego: *Swoi, to się pogodzimy*, *Bezposażna* i *Bez winy występni*.

Zapis. Zmarły niedawno w Nowogródku dr Ignacy Orzechowski zapisał na cele publiczne kilkaset tysięcy rubli, szczegóły nie są jeszcze znane, wiadomo tylko, że uniwersytet jagielloński otrzyma 100,000 rs.

Znajomość historyi. *Korespondent płocki* drukuje opowiadanie historyczne o Sawie-Calińskim, znanym konfederacie barskim. Autor najpoważniej opowiada, że ojciec Sawy położył wielkie zasługi w czasie buntu Gonty i Żeleźniaka, że za przychylność dla Polski został zamordowany przez hajdamaków i pozostawił sierotę, małego syna, którym zaopiekowała się szlachta krewna. Bardzo wzruszająca historya, szkoda tylko, że nie prawdziwa, bo bunt Gonty i Żeleźniaka współczesny był konfederacyi barskiej.

Statystyka. Ludność Królestwa, według danych urzędowych, wynosiła 7,690,024 osób, w 1865 roku 5,336,210, w ciągu lat dwudziestu powiększyła się więc o 2,353,814 głów, czyli o 45%. Jest to przyrost nadzwyczaj szybki, żaden kraj w Europie nie przedstawia takiego stosunku. Najsilniej wzrastała ludność w okresie między 1866 i 1876 r.

Kradzieże. W Warszawie w 1884 r. zameldowano policyi 3,630 kradzieży na sumę 419,183 rubli, wykryto 1,699 na 157,014 rs. W r. 1885 było wiadomych kradzieży 3,224 na 336,536 rs., w tym ostatnim roku wydalono z Warszawy 2,081 osób podejrzanych.

Zmarli. Michał Czepiński, autor kilku dzieł, dotyczących ogrodnictwa.

— Dr Teofil Matecki, wiceprezes towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Bar. Dęb. Dziękujemy za życzliwość, ale z łatwo zrozumiałych powodów, rady dać nie możemy, chyba tę jedną, ażeby Pani nie trudziła się daremnie tam, gdzie druki otwierają gościnnie tylko dla napaści. Jeszcze dosadniej wyilustrował tę samą myśl W. Wysocki w osobnym wierszu, którego wszakże te same powody nie pozwalają nam drukować.

Ig. Se. Odczuwamy Waszą skargę całkowicie, a jeżeli istotnie choć w drobnej cząstce przeciwdziałamy jej źródłu, jest to dla nas miłą pociechą w pracy.

Hr. Alfa. Tym głosem na pustyni już nieraz wołaliśmy.

P. Wil. Jel. Tak było, jest i długo jeszcze będzie. Pieniądz w rękach bogacza pleni się jak owoc, w rękach biedaka topnieje jak lód. Tamten ciągle rezultaty swych zabiegów podnosi do wysokich potęg, ten zaledwie z pracy wyciąga pierwiastki.

P. S. H. L. w Pławnie. As. wyjdzie w jesieni.

O. M. Wyczerpany.

M. K. Nie.

S. J. Owszem, p. P. prosi o adres.

OFIARY.

Dla studentów. Jakób W.. stróż, jako kara rs. 4,20. *Do rozporządzenia redakcyi.* Bezimiennie 1 rs. *Na pogorzelców.* Stanisława Ryszczykowa 8 rs., Józefa Kozicz rs. 5, Józia kop. 50 — z Saratowa; Adam Harusewicz z Łomży w miejsce składania życzeń wielkanocnych rs. 3, od dzieci Z. rs. 3, abonent „Prawdy" rs. 1, bezimiennie rs. 2, korepetytor z Płocka 2 rs.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Мая 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.